

Dziś w numerze: ● Ranga łódzkich uczelni ● Bój o Łęczycę ● Wieczorna włóczęga ekskarcerowiczów ● Trzysta dla Łazuki ● Simenon i Maigret ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosy



Nr 38 (400)
25. IX. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



JAN BABIŃSKI

Muzeum NA SPRZEDAŻ

Wysłannicy szacha Iranu od kilku już miesięcy z niestrudzoną pasją penetrują antykwiariaty Paryża. Szach ma hobby. Szach zamierza przekształcić swój pałac w Teheranie w siedzibę godną francuskiego króla słońca, Ludwika XIV.

Jego agenci zakupiła więc gdzie jest to możliwe, komplety mebli z woskowanego orzecha o miękkich liniach — fotele, biurka, stoliki z pulpitemi — połyskujące srebrem, lakierem, złoceniami, brązem i nierównana intarsja — peinture en bois...

Gdyby perscy szperacze mieli więcej inwencji, wówczas kupiecki szlak musiałby ich zaprowadzić także do Łodzi. Bo łódzka „Desa” to salon osobliwości, w którym również nie brak ładnie księżyczych mebli.

— Szamie, otwórz się...
Tak, to prawdziwy szam. A klucz do niego nosi każdy śmiertelnik, który czuje w kieszeni żywa, brzęcząca moneta. Jeśli zaś „Kościuszka” wymieni na monetę, która już wyszła z obiegu, wówczas bierzmywany niewidzialna reka wchodzi do zamkniętego cechu numizmatyków. Może jeszcze nie wchodzi, ale już stała na samym jego progu. Ileż jest piękna, niemal pociągła w starzych monetach. Przecież grecka numizmatyka to już cała dziedzina sztuki. Czy jest coś cudniejszego od srebrnej monety ateńskiej?

Zbieraczy numizmatów jest w Łodzi już ponad 150.

To kolekcjonerzy w tym najszlachetniejszym, klasycznym wydaniu.
Każdy z nich wpada codziennie na jednej nodze do „Desy”. Pedzi wprost do oszklonej gabloty. Pochwla się. Patrzy. Studiuje. A już trafi na cesarski antyk? Albo na solid, które ponoć w Poznaniu wybił sam Bolesław Chrobry. Nie wolno przegapić żadnego dnia — bo w każdym setka kolekcjonerów wyrusza na łow. Niektórzy stali się przez te lata, wyidealizowane mrówczym zbieractwem, ludźmi dość małychymi. Nietleden łódzki numizmatyk zeromadził w swym mieszkaniu kolekcję starzych monet wartości ponad pół miliona złotych.

Doprawdy, wywiedli się z imię pana Paska, który w Danii zbierał same tylko zabytkowe monety.

Kilkuset łódzian zakupiło srebrne półdolarówki wydane w Stanach Zjednoczonych zaraz po tragicznej śmierci Kennedy'ego.

Placono za nie po 150 złotych. Jeszcze droższe są „Churchille”, 5-szylingówki, wypuszczone w Anglii po zgonie sir Winstona. Są wciąż poszukiwane, choć ich cena jest raczej wysoka — 250 złotych. „Desa” specjalizuje się zresztą nie tylko w obrocie monetami. Przypominam sobie koleżę z Kra-

Dalszy ciąg na str. 4

ROBERT GLUTH

CZY SIĘ STÓI CZY SIĘ LEŻY?

Czytujemy o bohaterskich górnikach, dzielnych prządkach, ofiarnych inżynierach — jeszcze nigdy nie slyszalem o wybitnych robotnikach dniówkowych. Są oni szczególną kastą ludzi, którym przypisano porzekadło narodowe: „czy się stoi, czy się leży, dwa patyki się należy” — kastą z marginesu oddziaływania bodźców ekonomicznych, wykonującą czynności pomocnicze w procesie wielkoprzemysłowej produkcji.

Robotnicy akordowi — o, to Inna para kałoszy. „Dniówkowych” wynagradza się za

czas spędzony w przedsiębiorstwie, za godziny. Taka płaca ma wiele wspólnego z kalendarzem (ilość dni roboczych), z ewentualną absencją... Nie wpływa na nią natomiast wielkość wysiłku, zdobyta sprawność zawodowa, czy indywidualna wydajność. Zło konieczne — mówią dyrektorzy.

„W ciągu dwudziestu lat — w przeciwieństwie do grup produkcyjnych — sytuacja materialna pracowników dniówkowych nie uległa pozytywnym zmianom” — grzmia na zebraniach związkowych radykalnie nastawieni działacze. To sygnały, że „coś nie gra”.

„Dniówkowi” stanowią pokaźną, wielotysięczną obsadę transportu wewnętrznego i zewnętrznego fabryk, kotłowni, magazynów itd. W opinii publicznej egzystują pod szyldem niezmiennych, stereotypowych opinii. Stereotypy są czasami kurtyna egzotycz-

nych światów. Dałem więc nura w „egzotyke”. 2 sierpnia br. zgłosiłem się do pewnego przedsiębiorstwa przemysłu wędliniowego, gdzie otrzymałem pracę jako robotnik magazynowy (a właściwie magazynowo-transportowy), z płacą 4 zł 50 groszy za godzinę, plus 50 procent premii stałej, plus ruchome 30 proc. za „wykonanie przewidzianego tonażu”. W sumie — zarobek miesięczny około 1400 zł. Praca miała charakter zespołowy; zostałem częścią 6-osobowej brzygady.

„MURZYNY”

Pechamy z Andrzejem wózek roczny, na który wladowaliśmy przed chwilą 200-kilogramowy wór surowca. Z przodu idzie Za-

Dalszy ciąg na str. 4



Poważni ludzie - jak się okazuje przemaszają czasem zupełnie niepoważnie. Jakże bowiem inaczej po wiedzied o ostatnim przemówieniu prezydenta Johnsona, jeśli z „wzburów” w południowym Wietnamie wyłącza on wniosek, iż Wietnamczy cy „aprobuja to, co tam robimy”? Doprawdy trzeba mieć wiele bezczelności, by dojdź do takiej konkluzji wtedy, kiedy zaledwie co trze ci mieszkanie południa uprawiano- nym był do głosowania, a tzw. wy- bory odbywały się pod lufami kara- binów. Czy można zresztą wyobra-zić sobie, by Front Wyzwolenia Na- rodowego południowego Wietnamu od nosił sukcesy, gdyby reżimowi Ky; a nie jemu sprzyjała większość spo- łeczństwa?

Johnson lekceważył oczywiste fakty nieprzypadkowo. Potrzebne mu to jest do dalszego natężenia wojny. Pisze o tym wprost np. „Washing- ton Post”, stwierdzając, że po ta- kim przedstawieniu sytuacji od da- wna przygotowywane plany „znac- nej intensyfikacji wszystkich aspek- tów wojny wietnamskiej zostaną łatwiej przyjęte przez społeczeństwo amerykańskie”.

Zdaniem b. wiceprezydenta - Ni- xona intensyfikacja ta nastąpi po li- stopadowych wyborach do Kongresu i polegać będzie na zwiększeniu lic- by wojsk amerykańskich w Wietna- mie do 600 tys. żołnierzy.

Oto, jakie wnioski wyprowadza Waszyngton ze swoich niepowodzeń politycznych i militarnych na wiet- namskim froncie i liczących przes- tróg do czego to wszystko prowadzi.

Spółczesność amerykańska - wbrew złudzeniom „Washington Post” - nie pozostaje obojętna na politykę Johnsona. Wykazują to ba- dania Instytutu Gallupa. Ogłoszone ostatnio wyniki rejestrują od lute- go znaczny spadek popularności John- sona, przy równoczesnym wzroście poparcia dla Roberta Kennedy'ego. Jeśli bowiem pierwszy stracił 20 proc. głosów wśród członków partii de- mokratycznej i 6 proc. wśród nieza- leżnych, drugi - zyskał odpowied- nio: 13 proc. i 11 proc. Ten układ sił jest znamienity.

Ustępujący sekretarz generalny ONZ - U Thant wstęp do dorocz- nego sprawozdania z pracy Organi- zacji tym razem potraktował jako swój testament polityczny, w ób- szernym 45-stronicowym dokumencie przedstawiając wiele ważkich sug- estii i dalekouszecznych spostrzeżeń. Oto najważniejsze z przekazywa- nych tam myśli:

- wszystkie kraje powinny mieć prawo posiadania swych obserwato- rów przy siedzibie ONZ i jej wszy- stkich agendach,
- Chinom Ludowym należy przy- wrócić przysługujące im prawa,
- ONZ powinna znacznie udosko-

nałé system informacji o swych pracach.

- niezbędne jest zawarcie poroz- umienia o zakazie doświadczeń pod- ziemnych oraz rozpowszechniania broni nuklearnej,
- wojna wietnamska musi być po- teplona, nie należy przedłużać cier- pień narodu wietnamskiego,
- niezbędne jest rozważenie kon- cepcji i przyszłości sił zbrojnych ONZ,
- wymagają wyraźnego zdefinio- wania uprawnień organizacji regio- nalnych.

U Thant ocenia, że w minionym roku sytuacja międzynarodowa ule- gła pogorszeniu i to głównie z po- wodu Wietnamu. Stwierdza on, adre- sując to do Stanów Zjednoczonych, że jedną z zasadniczych przyczyn za- burzeń w świecie jest „uciekanie się do przemocy, fałszywa interpretacja interesu narodowego”. W innym miej- scu raportu czytamy: „Dostrzegam wyłącznie groźne niebezpieczeństwo w poglądzie tak bezstronko kolporty- wanym poza Wietnamem, że konflikt stanowi rodzaj świętej wojny między dwoma potężnymi ideologiami”. Se- kretarz generalny wyzwa następnie do wywarcia presji na zakończenie wojny.

Korespondenci nowojorscy podkre- ślają, że dwa rządy szczególnie roz- drażnione będą sprawozdaniem U Thanta: Stany Zjednoczone - z po- wodu problemu wietnamskiego i Niemcy zachodnie - z powodu sug- estii ustanowienia instytucji obser- watorów z wszystkich krajów.

Prócz Wietnamu i XXI sesji Zgrom- adzenia Ogólnego NZ, która właśnie rozpoczęła obrady, u- wagę międzynarodowych obserwato- rów skupia w dalszym ciągu tzw. dyplomacja osobista, a więc podró- że między innymi Wśród tych naj- częściej komentowane były ostatnio: podróż de Gaulle'a „dookoła świata” (na trasie 43 tys. km), wizyta Couve de Murville'a w Jugosławii, koń- cząca serię rozmów Francji z rzą- dami krajów Europy śródziemnej, wschodniej i częściowo południowej oraz przyjazd do Polski szachinszacha Iranu - Mohammada Reza Pahlawi.

W związku z tą ostatnią wizytą warto przypomnieć, że Iran należy do tej grupy ciekawych krajów, w których mimo zachowania ustroju monarchistycznego (dziedziczna mo- narchia konstytucyjna) od pewnego czasu dokonują się ciekawe prze-obrażenia. Od 1963 roku realizowany jest tzw. program białej rewolucji, przewidujący reformę rolną, nacjo- nalizację lasów, sprzedaż państwowych fabryk, udział robotników w docho- dach, walkę z analfabetyzmem itp.

W polityce międzynarodowej Iran dąży do neutralizmu politycznego, co przede wszystkim przejawia się w uniezależnieniu się od mocarstw za- chodnich.

O polityce szachinszacha pisała o- statnio „Die Presse”: „korzysta on ze sprzyjających okoliczności, by stworzyć dobre stosunki z europej- skimi krajami komunistycznymi i za- cieknieć więzy solidarności z nieza- angażowanymi państwami muzułmań- skimi”.

Poglądy Mohammada Reza Pahlawi na sytuację międzynarodową i rozwój bilateralnych stosunków z Polską mogli poznać Czytelnicy z liczących jego wystąpień w czasie po- bytu w Polsce. W. SŁAWSKI

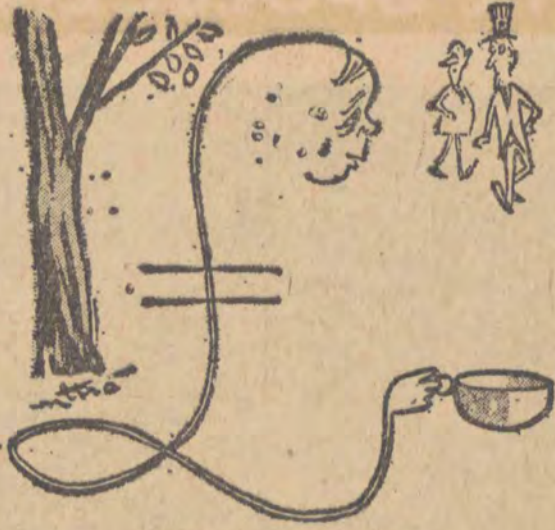
TYGODNIA

W kołach dyplomatycz- nych ONZ mówi się o moż- liwości powrotu Indonezji do tej organizacji w czasie bie- żącej XXI sesji.

Na łamach prasy jugo- sławiańskiej w dalszym cią- gu ukazują się publikacje poświęcone problemom ostat- niego plenum KC ZKJ, któ- rych autorami są wybitni działacze ZKJ. W tygodniku „Viesnik Ustrje”, członek KC ZKJ Miki Tripalo odslania kulisy rozbieżności politycz- nych partii, rozstrzygniętych dopiero na ostatnim plenum KC. Według opinii autora pu- blikacji, już przed czterema

lowych osobistości amerykań- skiej sceny politycznej. Za najbardziej nieprzejednanego uważany jest obecny sekre- tarz stanu Dean Rusk. Dele- gat USA w ONZ Goldberg posiada opinię wypowiadają- cego się za bardziej elastycz- nym kursem amerykańskiej dyplomacji. McNamara - według opinii ludzi z grona sekretarza obrony - jest zwolennikiem kursu umiarko- wanego i pragnie w chwili obecnej włączyć się do no- wej fali „kennedyzmu” w USA.

W przegłosowaniu radio- wym, wygłoszonym w trzecią



Kłopoty angielskiej waluty.

laty istniała wewnątrz zwią- zku komunistów grupa lewi- cowa, która zaczęła spisko- wać w celu zagarnięcia wła- dzy. Rozgromienie tej grupy stało się niezbędnym czynni- kiem w procesie dalszej de- mokratyzacji stosunków Ju- gosławii. „Nadszedł czas - pisze autor, aby sam ZK zrobił nowy krok w kierun- ku częściowej rezygnacji ze swych prerogatyw na rzecz sił ludowych, które są zdolne same rozwijać auto- nomię. Obecnie trzeba nastaw- ić się na opartą na zasada- ch demokratycznej, szeroko zakrojonej i swobodnej kon- frontacji. Moim zdaniem - oświadczył Tripalo - naj- lepszą metodą wiodącą do te- go celu, jest krytyczne pod- chodzenie do wszystkiego, również kierownictwa.

Komentatorzy prasowi zwracają uwagę na różnice zarysowujące się w progra- mach politycznych wśród czo-

rocznicę powstania Malajzji premier Abdul Rahman za- powiadał powołanie zmianę polityki tego państwa, zmie- rzającą do rozluźnienia wię- zów z Wielką Brytanią. Proces ten będzie postępował w miarę utrwalania się spójno- ci wewnętrznej kraju. Celem nowej orientacji ma być prze- konanie sąsiadujących państw o specyficznym azjatyckim charakterze Malajzji.

„Jeune Afrique”: Zwy- ciejstwo amerykańskie w Wietnamie byłoby ogromnie niebezpieczne dla trzeciego świata. Amerykanie nie zda- ją sobie sprawy z tego, że solidaryzowanie się krajów trzeciego świata w sprawie konfliktu wietnamskiego prze- radza się powoli, ale nie- wątpliwie w nienawistnie skierowaną przeciwko białym, Podziw i szacunek afrykań- skiej opinii publicznej dla narodu wietnamskiego wpły- wa na to, że nawet ci z przy- wódców afrykańskich, którzy pragnęliby udzielić moralne- go poparcia USA skazani są na milczenie”.

Grodzki Sąd w Marsylii przyjął postanowienie na mo- cy którego właściciele psów muszą baczyc, aby ich czworo- nożni podopieczni szekali nie więcej niż 15 minut noca i 30 minut w dnie. Właściciele uchylający się od pre- strzegania powyższego zakazu

nie „Czytaj” straciło swój charakter; utrzymuje się przede wszystkim z anty- kwariatu, handlu materiałami piśmiennymi i znaczkami. Jedynie kilka wydawnictw, w tym wrocławskie „Ossoli- neum” nadal nadsyła do księgarni swoje nowości. Mimo to pan Kazimierz Pa- wlak jak zawsze czuje się przede wszystkim księga- rzem-sortymentystą, ze sta- rymi książkami rozstaje się niechętnie, sakramentalnym słowem „wyczerpane” zby- wa poszukiwaczy sensacji i lektur. Gorliwie sprzedaje tylko nieliczne nowości, które docierają do jego księ- garni. Twierdzi, że bez swej pracy nie potrafiłby już żyć.

Panie Kazimierz! Pa- na niewielka firma przez pół wieku wytrwale sprze- daje polskie książki na trud- nym, łódzkim terenie. W naszych bibliotekach wiele starszych i nowych dzieł jest opatrzonych skromną naklejką księgarni „Czytaj”. Przyjmij za nie bibliofilskie podziękowanie i życzenie „Sto lat!”.

JANUSZ DUNIN

poniżani mają być do odpo- wiedzialności finansowej, nie wyklucza się także kary are- stu.

Pentagon i NASA roz- wazają możliwość wystrzele- nia satelitów zdolnych do odbijania światła słoneczne- go, co pozwoliłoby oświetlać nocą tereny działań wojen- nych w Wietnamie.

Bońskie kontrowersje: Willy Brandt: - „Kanceler Erhard nie jest zdolny do rozwiązywania problemów, w obliczu których stanął rząd federalny... nie do pomysłenia jest jakiegokolwiek skompensowa- nia unadku autorzytetu Er- harda”. Rzecznik CDU i czło- nek prezydium tej partii, Bru- no Heck: „Brandt powinien

raczej froszczyć się o ważne zadania, powierzone mu w Berlinie, zamiast dzień w dzień powtarzać swoje głupie i niedorzeczne komuny na temat rządu federalnego i kanclerza... Trzeba wreszcie zerwać z twardy Brandta ma- ke odpowiedzialności męża sta- nu, pod która znajduje się zwykłe panikarstwo”.

W Zurichu oficjalnie zarejestrowany został nowy bank handlowy „Wschód” - pierwszy radziecki bank w Szwajcarii z kapitałem zakła- dowym 10 milionów franków szwajcarskich. Cel przedsię- wzięcia: rozwój radziecko- szwajcarskich stosunków ekono- micznych i handlu euro- pejskiego.

W Gwincie tworzone są brygady służby obywatelskiej i milicji ludowej. Młodzież przechodzi w tych organizac- jach szkolenie militarne i polityczne, uczestniczy równ-ież w pracach na rzecz kra- ju.

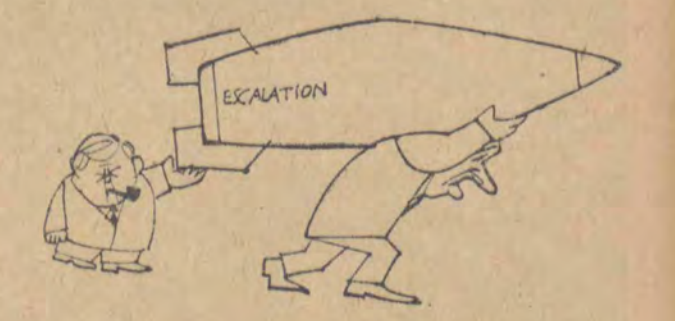
Jeden z tygodników brazylijskich informuje, iż w czasie ostatnich 5 lat wyemigro- wało z kontynentu połud- niowoamerykańskiego do Sta- nów Zjednoczonych 19 tysią- cy osób z wyższym wykształ- czeniem. Ta ucieczka wysoko- kwalifikowanych kadr ozna- cza dla państw Ameryki La- cińskiej stratę równą warto- ści 400 mln. dolarów. Według opinii pisma, emigrujący spe- cjalści nie są w stanie znale-źć w ojczystych krajach pracy odpowiadającej ich kwalifikacjom.

Prezydent DRW Ho Chi Minh w wywiadzie dla pary- skiego miesięcznika L'Evenement: „Amerykanie są pogr- żeni po szyję, lecz przysto- wują przeciwko nam inne awantury. Naród nasz gotów jest stawić czoła, zdecydowa- ny jest kontynuować walkę, nawet jeśli ona będzie trwać jeszcze 5, 10 albo więcej lat”.

Papież Paweł VI oświadczył, iż wielu wyzna- wców katolicyzmu, przeżywa wątpliwości na tle uznania prawdziwości wiary katolickiej. Zwracając się do grupy pielgrzymów Paweł VI po- wiedział, że zauważa wśród katolików „pewne osłabienie intensywności wiary, zmęcze- nie, niepewność, mniejszy entuzjazm w identyfikowaniu się, jako katolicy”.

Nieliczna, lecz wpływo- wa grupa obywateli NRF próbuje nakłonić władze kra- jowe i federalne Republiki, aby wydały zalecenie wpro- wadzające do szkół jako alfa- bet oficjalny - gotyk. Obecnie w kilku zaledwie rejonach NRF obowiązuje nauka goty- ku i to w szkołach wyższych sło- pni.

Władze kolumbijskie za- kazaly ze względów higienie- nych noszenia inspektorom po- lejki drogowej wosów a'la Meksykanin. Zgodnie z wyda- nym nakazem policjanci mu- szą skrócić swe wosy bądź zupełnie się ich pozbyć. Zar- ządzenie powyższe wydano z intencją przeciwdziałania mo- dzie jaka szerzy się wśród per- sonelu policyjnego - nasiado- wania wyglądu bohaterów fil- mów meksykańskich. Prasa z uznaniem powitała to zarzą- dzenie wskazując, że moda na długie wosy nadawała funk-



Wsparcie, ale tylko połową sił.

Z bibliofilskiego raptularza

Podwójny JUBILEUSZ

przy ul. Narutowicza 2 (nie gdyś Dzielnej). Jej właściciel Kazimierz Pawlak w tym- że roku ukończył 80 lat ży- cia.

Księgarnia powstała w cza- sie pierwszej wojny świato- wej, kiedy to 26 września 1916 roku Stanisław Tyliń- ski, dr Władysław Rogow- ski i Konrad Ilski po dłu- gich staraniach uzyskali od władz okupacyjnych zezwo- lenie na założenie, w Łodzi filii warszawskiego Towar- zystwa Szerzenia Oświaty Słowem Drukowanym „Czy- taj”. Towarzystwo to publi- kowało szereg aktualnych broszur w duchu patriotycz- nym oraz zajmowało się kol- portażem prasy i książek. Pracownikiem łódzkiego od- działu Towarzystwa został wychowanek Łódzkiej Szko- лы Handlowej Kazimierz Pa- wlak, który niepomny na rady rodzicielskie postano- wił pójść w ślady ojca pro- wadzącego prowincjonalną księgarnię. Z końcem pier- wszej wojny światowej To- warzystwo „Czytaj” zostało zlikwidowane, ostała się tyl- ko łódzka placówka, którą od tego czasu Kazimierz Pawlak prowadził na wlas- ny rachunek. Jedynie okres drugiej wojny stanowią prze- rwę w życiu księgarni. Wła-

ściciel jej zostaje wysiedlo- ny do Generalnej Guberni, skąd wraca natychmiast po wojnie i 12 grudnia 1945 ro- ku udaje mu się w odzy- skanym lokalu wznowić księgarnię. Do 1950 roku „Czytaj” prowadził ożywioną działalność wydawniczą. Wśród około setki opubliko- wanych książek, broszur i czasopism było kilka dzieł interesujących jak np. napi- sana przez Władysława Pa- właka powieść łódzka „Ka- menica wielkiego miasta” (nawiasem mówiąc, stanowią- ca dziś nie lada rzadkość bibliograficzna).

Ale nie praca wydawni- cza jest główną zasługą i ambicją „Czytaja” - tak znajomi i przyjaciele zwykli nazywać pana Kazimierza - publikacje były podporząd- kowane głównemu celowi: sprzedaży książek. Rozumna kalkulacja pozwoliła firmie przetrwać wszelkie kryzy- sy, które trapiły księgarstwo łódzkie i sprzedać miesz- kańcom Łodzi miliony dzieł polskich. Księgarnia była przedstawicielstwem na Łódź wielu zasłużonych pla- cówek wydawniczych.

Obecnie, gdy sytuacja w księgarstwie w naszym mie- ście uległa radykalnej zmia-

RANGA łódzkich uczelni

Redakcja „Odgłosów“ zwróciła się do Rektorów: Uniwersytetu Łódzkiego, Politechniki Łódzkiej i Akademii Medycznej z prośbą o wypowiedź na temat osiągnięć naukowych łódzkich uczelni i ich perspektyw rozwojowych w okresie najbliższych lat.

W dzisiejszym numerze naszego pisma zamieszczamy rozmowę z Rektorem Politechniki Łódzkiej, Panem Profesorem dr Jerzym Wernerem.

ODGŁOSY: Czy możemy poprosić Pana Rektora na wstępie naszej rozmowy o scharakteryzowanie wyznaczników, które wyróżniają łódzką uczelnię spośród innych politechnik w Polsce.

PROF. DR JERZY WERNER: Politechnika Łódzka ma 6 wydziałów: Mechaniczny, Elektryczny, Chemiczny, Włókienniczy, Chemii Spożywczej i Budownictwa Lądowego. Jej odrębność polega na tym, że są wśród nich niektóre wydziały unikalne, niepowtarzalne w Polsce. Do takich należy Wydział Włókienniczy i Wydział Chemii Spożywczej. Ale i na pozostałych wydziałach są specjalności również unikalne. Np. na Wydziale Mechanicznym do takich unikalnych specjalności należy budowa maszyn włókienniczych i budowa maszyn papierniczych. Na Wydziale Elektrycznym bardzo mocna i silnie powiązana z przemysłem specjalność transformatorów. Na Wydziale Chemicznym rozwijana technologia polimerów i chemia radiacyjna, która niedawno się uformowała. Bedzie się rozwijała technologia garbarstwa, najmłodsza specjalność, która oczekuje na wykończenie pawilonu, mieszczącego laboratoria tej katedry i laboratoria dwóch innych katedr: Katedry Aparatury Przemysłu Chemicznego i Katedry Chłodnictwa. Jeżeli idzie o nasze powiązania wynikające z tej specyfiki, to zarówno prace badawcze jak i prace dla przemysłu wiążą się ściśle z kierunkami działalności naukowej i dydaktycznej naszych wydziałów. Sztuki dla sztuki nie uprawiamy — pracujemy z nastawieniem na użyteczność. Naturalnie ta użyteczność może być podzielona na szereg stopni: użyteczność bezpośrednia, polegająca na rozwiązywaniu tych zagadnień, które są już przemysłowi potrzebne, i użyteczność o charakterze perspektywicznym, gdy katedry przygotowują jakies nowe wdrożenia w przemyśle, nowe technologie lub wprowadzenia jakiegos nowego asortymentu.

ODGŁOSY: A więc Politechnika Łódzka daje młodzieży, która przechodzi tu studia, pełne szanse awansu.

PROF. DR JERZY WERNER: Jesteśmy tak samo uniwersalni, jak wszystkie inne uczelnie techniczne tego typu, czego dowodem, że nie tylko na wydziałach unikalnych mamy studentów nie tylko z naszego miasta, ale z całego województwa, ale z całej Polski. A do właściwego późniejszego rozmieszczenia absolwentów przyczynia się w walnej mierze działalność delegata komitetu placu i pracy przy PL, który dba o to by absolwenci poszli tam, gdzie są najbardziej potrzebni.

ODGŁOSY: Jak na tym tle wygląda perspektywa rozwojowa uczelni?

PROF. DR JERZY WERNER: Dość powiedzieć, że w latach od 1962 do 1966 liczba studentów wzrosła o 60 proc. na studiach dziennych, a o 100 proc. na studiach dla pracujących. Jesteśmy uczelnią, która ma około 7 tysięcy studentów. Oczywiście, konieczny jest związek z tym rozwój liczby kadry naukowej, bazującej przede

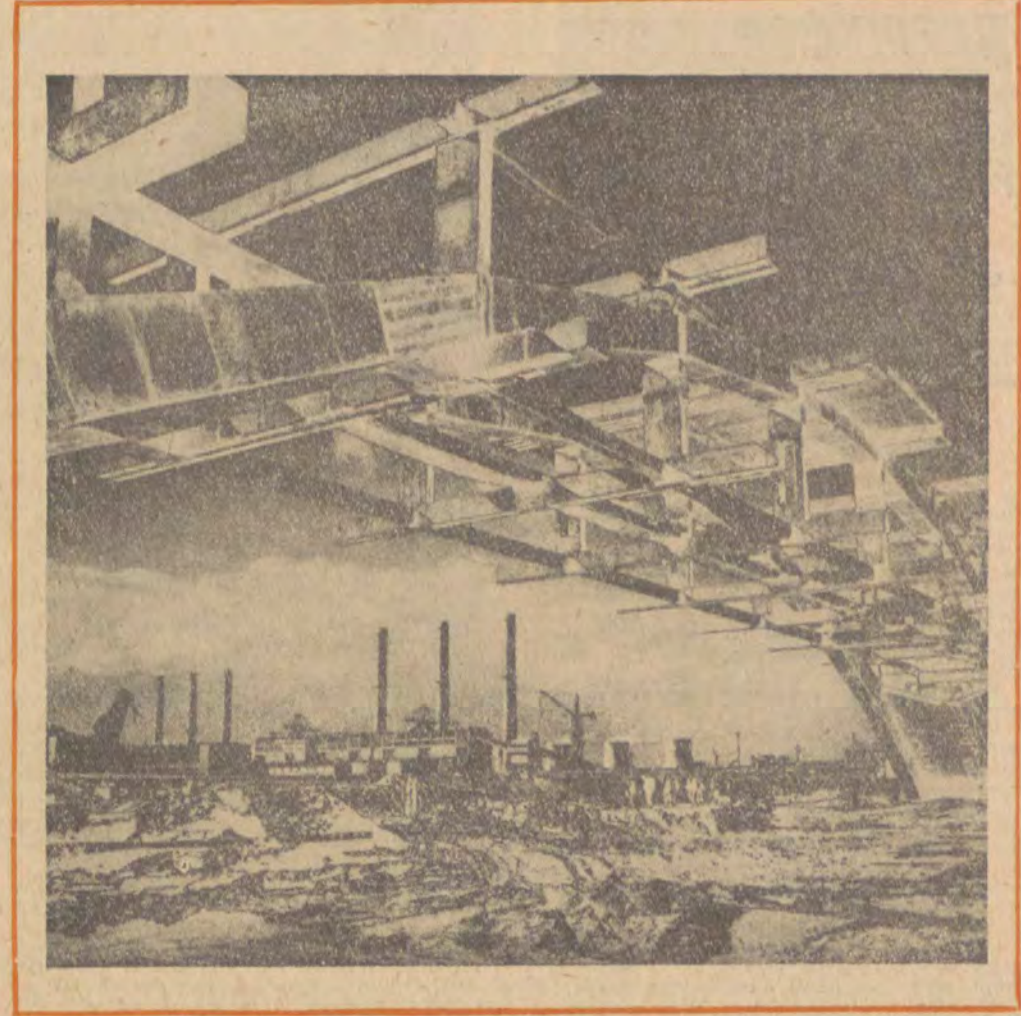
wszystkim na dopływie młodych sił najbardziej zdolnych absolwentów. To stwarza nieograniczone perspektywy dla tych młodych ludzi, którzy chcą się poświęcić karierze naukowej, którzy chcą zrobić doktorat, chcą się habilitować i których nie przeraża trudna kariera naukowa, wynagradzana i poświecenia, i wyrzeczeń ponieważ, jak wiadomo, pracownicy nauki nie korzystają ze szczególnie lukratywnych sytuacji materialnych. Trzeba zresztą stwierdzić, że konkurencja przemysłu jako odbiorcy młodej kadry dla uczelni jest silna i trudna do zwalczania. Stąd właśnie nie tak szybki, jakbyśmy sobie tego życzyli, przyrost naszej kadry nauczycielskiej.

ODGŁOSY: A przecież mimo to, uczelnia łódzka partycypowała w rozwoju innych naukowych placówek technicznych w Polsce.

PROF. DR JERZY WERNER: Cały szereg kolegów odeszło od nas do innych uczelni, np. do Politechniki Poznańskiej, do Politechniki Częstochowskiej, do świeżo uruchomionych wyższych szkół inżynierskich. Jesteśmy więc zespołem, który nie tylko kształcił kadre dla siebie, ale i dzielił się z innymi uczelniami. Ostatnio np. jeden z naszych profesorów zwyczajnych został przeniesiony do Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Zastąpienie takiego wybitnego kolegi, który odchodzi od nas po to, aby organizować prace naukowe i dydaktyczne w innej uczelni jest bardzo trudne. No ale to jest widomym śladem oceny naszych kolegów przez inne środowiska.

ODGŁOSY: Wobec tak ogromnego przecięcia pracy dydaktycznej i „eksportu” kadry naukowej, jak Pan Rektor ocenia dorobek naukowy Politechniki.

PROF. DR JERZY WERNER: W ocenie tego dorobku nie stosujemy żadnych ulg, jesteśmy raczej gronem surowo oceniającym nasze osiągnięcia. Jeżeli idzie o liczbowy wyraz osiągnięć naukowych najlepiej ilustrować to liczbą przewodów habilitacyjnych i doktorskich. W roku akademickim 1965/66 mieliśmy 7 przewodów habilitacyjnych zakończonych, 37 doktorskich. Poza tym kilkadziesiąt tematów rocznie obracują katedry Politechniki Łódzkiej w ramach planu prac naukowo-badawczych. Niezależnie od tego również kilkadziesiąt tematów jest obracanych w ramach prac ponadplanowych czyli tych, które są zlecane przez jednostki gospodarki społecznej. Jest to bardzo poważny dorobek i jeżeli przetransponowalibyśmy to znowu na liczbę statystyczną, średnia wypadłaby około jednego tematu planowego na pracownika nauki rocznie. Oczywiście to wskaźnik porównawczy, umowny, jednym może się to wydawać mało, innym dużo, ale zważywszy, jak bardzo poważnym obciążeniem kadry jest dydaktyka, zważywszy, że nas jest za mało, zarówno samodzielnych jak i pomocniczych pracowników nauki i że wynikała z tego rozmaitego rodzaju przecięcia, wyrażające się tym, że niektórzy koledzy mają ponad pensum jeszcze przynajmniej 50 proc. obciążeń, które powinni normalnie wykonywać, można ocenić te osiągnięcia jako pozytywne i w pełni zadowalające. Główna nasza troska jest dydaktyka, która oceniamy, jeżeli idzie o jej liczbowe efekty, wskaźnikiem sprawności nauczania. Sprawność nauczania mówi, ilu studentów z naboru, który przyjęliśmy 5 czy 6 pół roku temu, terminowo kończy studia. Otóż trzeba powiedzieć, że w ciągu ostatnich 4 lat zwiększyliśmy sprawność nauczania prawie o 100 proc. No ale to jest jeszcze dość daleko od optymalnego, pożądanego, wyrażającego się liczbą 70. Gdyby sprawność nauczania była rzędu 93 proc. na każdym roku to właśnie po piątym roku można by osiągnąć około 70 proc. dla całej uczelni. Jest to oczywiście niestety trudne — jeśli w ogóle możliwe do zrealizowania. Ale staramy się wejść na drogie jak najszybszego osiągnięcia tej sprawności, robimy wszystko co można, angażujemy organizacje młodzieżowe, nawiązujemy bezpośrednie kontakty z samą młodzieżą, kształcimy w niej systematyczność, zamiłowanie do pracy i porządku, punktualność — jednym słowem te cechy, które są tak cenione u absolwenta wyższej technicz-



nej uczelni, predysponowanego do zajęcia kierowniczego stanowiska w: przemyśle.

ODGŁOSY: Z tej konkluzji wynika następne pytanie. Jak Pan Rektor widzi współczesnego młodego człowieka, studiującego na kierunku technicznym. Czy dają się zauważyć na przestrzeni ubiegłych lat jakieś istotne zmiany jeśli chodzi o strukturę psychiczną, zakres zainteresowań, stosunek do nauki.

PROF. DR JERZY WERNER: Bardzo dobre z punktu widzenia stosunku do pracy, do studiów był pierwszy rocznik, bezpośrednio po uruchomieniu uczelni. Potem nastąpiło jakby osłabienie zainteresowania studiami, a może zjawyły się jakieś inne zainteresowania. Ten stan rzeczy stanowi dno tej krzywej, czy jej minimum i teraz od paru lat obserwujemy zmianę, która wskazuje, że pogłębiają się zainteresowania studiami, że stosunek do pracy, do obowiązków staje się coraz poważniejszy, coraz bardziej nacechowany prawidłową oceną roli, społecznego znaczenia, jakie ta młodzież z wykształceniem technicznym odegra w naszym życiu społecznym. Muszę stwierdzić, że z całą satysfakcją notujemy, jako następstwo zmiany stosunku młodzieży do studiów, między innymi właśnie wyraźna poprawa wskaźników sprawności nauczania.

A z punktu widzenia przygotowania do pracy w gospodarce narodowej niewątpliwie trzeba stwierdzić, że rośnie zrozumienie społecznej ważności roli człowieka z technicznym wykształceniem dla sprawy naszego ogólnonarodowego postępu. Mamy jednak przecież do czynienia z młodzieżą o różnym stopniu zdolności, o różnym stopniu przygotowania do pracy zawodowej i naukowej, o różnym stopniu wyrobienia społecznego, więc trzeba jakieś zróżnicowanie przeprowadzić. Otóż wydaje mi się, że można by w dziedzi spośród naszych studentów grupę młodzieży, która widzi siebie wyłącznie w działalności przemysłowej, na stanowiskach kierowniczych już istniejącego przemysłu. Jest i druga duża grupa, która ma ambicje pchnięcia przemysłu na nowe tory i śmielszego wprowadzenia nowoczesności. Otóż w związku z takim dwójakiem nastawieniem występuje u naszej młodzieży różny stopień zainteresowania przedmiotami podstawowymi. Pierwsza grupa będzie raczej przyswajala znaczenie do przedmiotów specjalistycznych, druga grupa przyswajala raczej znaczenie do przedmiotów podstawowych.

Zresztą cały program w ostatnich latach zmienia się w tym kierunku, żeby przedmiotowo podstawowe matematyka, fizyka, mechanika, chemia itd. stanowiły u studenta mocny fundament, na którym dopiero naddobuduje się wiadomości specjalistyczne czy specjalizacyjne. Wydało mi się, że podział na takie dwie grupy chyba najlepiej odzwierciedla to, co się wśród młodzieży dzieje i to, jakim kryterium odpowiadała absolwencji, którzy od nas przechodzą do placówek gospodarki uspołecznionej.

ODGŁOSY: Pozwole sobie na zakończenie zapytać, co jest szczególnie wypieszczone w marzeniach uczelni, jeśli chodzi o najbliższe lata?

PROF. DR JERZY WERNER: O, to rzeczywiście piękny temat. Oczywiście takim marzeniem jest pełna realizacja dalszego rozwoju uczelni i to nie tylko w tym sensie w jakim to dotychczas się działo, tzn. w sensie stopniowego, czasem nawet mozolnego wzrostu kadry nauczycielskiej, rozrostu dyscyplin i wyposażenia w aparaturę badawczą, naukową — bo to są nasze marzenia „na co dzień” jakoś te marzenia się spełniają. Ale marzeniem na daleką metę jest, by wszystkie wydziały uczelni mogły przenieść się do nowo wybudowanych i dostosowanych do ich specyfiki gmachów, by również i rektorat miał swój oddzielny budynek, w którym zainstalowałby oddzielne miejsce razem z audytorium maximum i biblioteką główną, biblioteką techniczną, która posiada już w tej chwili ogromną ilość tysięcy tomów. By pomieszczenia, które zajmują w tej chwili placówki administracyjne były oddane na laboratoria i pracownie naukowe wydziału chemicznego. W tej chwili budynki uczelni stoją na powierzchni 11 hektarów, a w planie urbanistycznym dla Politechniki Łódzkiej przewidziano 44 hektary. — Wierzę naszym marzeniem jest żeby te 44 hektary wypełniły się właściwymi obiektami jak najprzedzi, by stał hotel asystencki, domy i stołówki studenckie i by te obiekty jak najlepiej służyły zadaniom, postawionym Politechnice Łódzkiej.

ODGŁOSY: A więc chyba sympatyczny paradoks: uczelnia, jak i jej młodzi, wchodzący w życie absolwenci, mają marzenia natury — tak to określmy — mieszkaniowej. Życzymy szybkiego ich zrealizowania i dziękujemy za ciekawą rozmowę.

Rozmawiał: WACŁAW BILIŃSKI

EWA SIEMIŃSKA

Łódzkie — ziemia recytatorów

„Polska krajem uczących się” to chyba jeden z najbardziej popularnych sloganów, które przez tyle lat pojawiały się na łamach czasopism, na transparentach, w hasłach wywieszanych na ścianach. I choć nie zdezaktualizował się do dziś dzień, to jednak treść jego jest zupełnie inna niż wtedy i zmienia się z każdym rokiem. Jęzo to właśnie przetworzeniem jest tytuł niniejszego artykułu. Celowym i próbującym w wiel-

kim ściercie, choć z karkołomnym może przejawieniem oddać istotę tych zmian, jakie dokonały się w naszej kulturze. Ze tytuł ten nie został „wyspany z palca”, że nie jest tylko chwytym stylistycznym — nitek świadczy cyfra.

W tegorocznej akcji konkursowej XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów wzięło udział w województwie łódzkim 18 433 (słownie: osiemnaście tysięcy czterystu trzydziestu trzech!!!) uczestników. W samym tylko powiecie wielunskim zgłosiło się 3 543 recytatorów, w radomskim — 2 091, sieradzkim — 2 020 a po mniej więcej półtora tysiąca — w powiatach łaskim i kutnowskim oraz w Pabianicach. Dla porównania — cyfry z innych województw: katowickie — 12 000 recytatorów, lubelskie — 10 000, opolskie — 8 000, a pozostałe — w przybliżeniu po 5 000. Województwo łódzkie wyprzedziło na konkursie imponująco i jako dowód uznania otrzymało jedyną nagrodę ufundowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki dla rywalizacji międzywojewódzkiej. Ta właśnie nagroda (50 000 zł) przekazane Zarządowi Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Łodzi) stała się bezpośrednią przyczyną przy-

pomnienia owej zakończonej jeszcze przed wakacjami — poprzez centralne eliminacje we Wrocławiu — ogólnopolskiej akcji. Temat ten podzielał zresztą i z innej przyczyny. Eliminacje centralne, zwycięzcy i nagrody to tylko jeden z etapów — ten końcowy. Poprzedza go bardzo długa i żmudna praca zaczynająca się już teraz — po wakacjach, po masowym urlopie. Bo tak właśnie: od konkursu — do konkursu ćwiczy i pracuje nasz swiatek recytatorski, odpoczywając tylko w miesiącach letnich. Konkurs recytatorski stał się już u nas niemal instytucją. Rozrasta się z roku na rok, zagarniając coraz to większe rzesze uczestników. W XI Konkursie Ogólnopolskim było ich 12 807, a więc w przeciągu roku liczba ta wzrosła o blisko 6 000! Ołbrzymia większość recytatorów to uczniowie szkolni. W ostatnim konkursie było ich ponad 16 000. Amatorzy zgłosili się w liczbie 2 248. Byli wśród nich także i ludzie starsi, liczący ponad 50 lat, byli robotnicy, studenci, gospodynie domowe. Ołbrzymia rozpiętość wieku, zawodów, zajęmowanych w społeczeństwie, przyczyniła i jednocząca ich wszystkie pasja: umiłowanie wszystkiego słowa. Niektórzy z nich wybi-

jają się dzieki niej, przebrnawszy zwycięsko przez eliminacje. Tak np. trzech recytatorów z naszego województwa trafiło już do Państwowej Szkoły Teatralnej. A przecież wiadomo, że spośród zdających dostaje się tam bardzo niewielu kandydatów.

Jak przebiega cała akcja? Eliminacje konkursu są czterostopniowe:

I — wstępne turnieje środowiskowe (gromadzkie, zakładowe, szkolne, uczelniane itp.);

II — turnieje powiatowe (dzielnicowe);

III — turnieje wojewódzkie;

IV — turniej centralny.

Wskutek pierwszej selekcji do eliminacji powiatowych przystąpiło w tym roku 721 recytatorów. Na turnieju wojewódzkim było ich 104, co jest jednocześnie miarą poziomu recytacji. Jury miało trudny orzech do zgryzienia właśnie ze względu na dość wyrównany poziom. Odbyły się eliminacje wojewódzkie II stopnia, do których dopuszczono 25 recytatorów (15 uczniów i 10 amatorów wraz ze studentami), spośród których wyłoniono 6 reprezentantów na turniej ogólnopolski. Uczestników konkursu obowiązywało

przygotowanie w repertuarze jednego utworu poetyckiego oraz utworu (fragmentu) wybrano dowolnie z prozy artystycznej bądź literatury społeczno-politycznej i publicystyki. Najchętniej — jak się okazało — sięgano do klasyki, przy czym w poezji był to najczęściej romantyzm, w prozie — pozytywizm. Obok tej tendencji badającej niewątpliwie półściemem po najmniejszej linii oporu była też na szczęście spora grupa recytatorów ambitnych, sięgających po teksty współczesne bądź z okresu międzywojennego. I tak dla przykładu — były wiersze Różewicza, Kubiaka, Grochowiaka, Herberta, były Lesmiana, Przybysia, Gałczyńskiego... A z prozy — fragmenty utworów — Struga, Nałkowskiej, Dąbrowskiej, Parandowskiego, Putramenta, Brandysa. Z publicystyki — Frycza Modrzewskiego, Staszcza, Kollataja obok współczesnych felietonów.

Kiedy akcja konkursowa nie była jeszcze tak rozpowszechniona, organizacją jej zajmował się Związek Teatrów Amatorskich, który wysyłał swoich konsultantów w teren. Przy obecnym

stanie rzeczy ZTA nie jest w stanie podjąć wszystkie. Z pomocą przyszły mu więc ośrodki instrukcyjno-metodyczne (powiatowe i wojewódzkie). Mała i one spory udział w tegorocznym sukcesie. Są także inni pomocnicy — niezinstytucjonalizowani, skromni, o których rzadko się mówi: pily z nagraniami najlepszych recytatorów zawodowych. Ale największą, mroźną pracę wykonują — w pierwszej fazie przygotowawczej — w grupach środowiskowych — nauczyciele. Należy im się (oprócz dość licznych nagród pieniężnych, które otrzymali) piękna laurka ze słowami uznania. Ten zbiorowy trud wielu ludzi, oraz zaangażowanie emocjonalne i intelektualne uczestników konkursu sprawiły, że XII Ogólnopolski Konkurs Recytatorski imponujący był nie tylko ilościowo, zadowalał także na ośrodku artystycznym recytacji.

Życzymy wszystkim miłośnikom żywego słowa w naszym województwie, aby rozpoczynająca się teraz akcja przygotowawcza przyniosła dobre rezultaty, aby liczba trzynastki nie okazała się dla nich fatalną. Nie jesteśmy przesądni — powodzenia!

Muzeum NA SPRZEDAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

kowa, który w zeszłym roku przemierzał całą Turynię od końca w koniec — za kukułkami. Gdzie miał ich szukać, teści nie w ojczyźnie recznych zegarmistrzów. A jednak w Turynii zegara z kukułką nie znalazł. Przepadły. A nowych, które ukrwawa dawny czas pod biesiadnym stołem „śmiechu stawały się przyczyna” — nikt już w Erfurcie nie wyrabia.

Kukulka przyczaiła się w ciemnym zakamarku łódzkiej „Desy”.

Wyskakuje z kunsztownie rzeźbionego zegara w równych odstępach czasu. Obwieszcza zgromadzonej w salonie klienteli, że pora zdecydować się na kupno. Kukulka się niecierpliwi. Widzi przez szpary przelewać się obok fali klientów, a na nią, biedna płaszyn, nikt dziwnym trafem uwagi nie zwraca. Ku-ku, ku-ku ku-ku... Stoją też ciche dwie pozytywki. W ubiegiem wieku, w czasach swej młodości, wygrywały to skoczne, to znów sentymentalne melodie. Teraz nie nakrecone, są smutne. Jakież one melodyjnie odzwierciedliły. Powiadamiam, że to nie bajki o anielskich głosach. Taki głos o nieskazitelnym czystości, głos nieprawdopodobnie jasny w każdym tonie, o zdumiewającym wycie — można dziś usłyszeć już tylko z pozytywki. Słodki, subtelny, słowiczy głos pozytywki.

Co sprzedaje „Desa”?

To, co sama kupuje.

Dostawcami staroci są wszystkie warstwy społeczne, ludzie w różnym wieku, prawie wszystkich profesji. Także osoby o bliżej nieokreślonych źródłach dochodu. Młodzi zbywają najczęściej stare meble w spadku po rodzicach. Biurko z epoki Ludwika XVI tyle ich obchodzi co śnieg zeszłoroczny. Wola szeroki tapczan o stalowych sprężynach, półki w segmentach. Wola 23-calowy „Star” węgierski niż autoportret Malczewskiego. Jak długo można patrzeć wciąż na to samo malowidło? Wola „Syrénke” taka z drugiej ręki za 25 tysięcy, niż złotawy wisior z brylantami, który wprowadzić ma ogień, a czy trzeba mrużyć, ale nie ma kółek. Do diabła z biżuterią po dziadkach, kiedy jest się młodym.

Starsi doznają niekiedy wstrząsu.

Z drobiazgiem trzymającym w zaciszy dloni zostają się z łzami w oczach.

Kiedy indziej wpadają w konsternację. W ich uszach wciąż jeszcze brzmią słowa zastawiane od rodziców — Pamiętaj dziecko, to Brandt — małatek — trzymaj ten obraz na czarna godzinie... — Taka godzina wybiła. Staruszek odwraca ramię powoli, z trudem hamuje drżenie rąk. Wielki Brandt, który oddziałł swymi batalistycznymi scenami na twórczość samego Sienkiewicza. Oto on — Brandt. Czyżby? Historyk sztuki mruży oczy. Odwraca się. Zwleka z odwołaniem, wreszcie kiedy dłużej już kluczyć nie może, wpyła.

— To żaden Brandt, to falsyfikat... „Desa” nie interesuje się falsyfikatami.

Staruszek wychodzi na Piotrkowską. Zaczyna się jak pilany. Na jego twarzy maluje się rozpacz. Usłyszał werdykt. Był to werdykt ostateczny. Bywała też inne zaskoczenia. Radośniejsze. Kobięcina w chuście na głowie przewraca oczami niczego nie rozumiejąc. Aż przysiadła z wrażenia na ró-



żowym fotelu. Kobięcina słowa nie mogła wydusić. Wreszcie wymamrotała — Pan sobie tylko żartuje ze starej kobiety... Kierownik był jednak daleki od żartów. Ujrzał przed sobą wspaniałą, gdańska tace ze srebra. Kobięcina liczyła na 300 złotych. Otrzymała 15 tysięcy. O rany, czy to możliwe? Wysłała ze sklepu chwalać pod niebiosa dobrych ludzi z miasta Łódź.

Ile takich tac, pucharów i kielichów kupuje „Jubiler” po 1500 złotych za kilogram żywej wagi — na złom?

Nikt tego nie wie. Nikt rachunku nie prowadzi. Ilek dzieli sztuki zmarnowano w ostatnich tygodniach, kiedy to „Jubiler” odbierał srebra na wymianę srebrnych 100-złotówek jubileuszowych? Ile się jeszcze zmarnuje? Któż to może wiedzieć. Poszło, przepadło — choć Łódź jest bardzo, ale to bardzo uboga w dzieła sztuki autentycznej. Łódź nigdy nie była ośrodkiem rzemiosła artystycznego, nigdy nie miała kolekcjonerskich tradycji. Dorobek Łódź na tym polu jest prawie żaden. Co leży w łódzkiej „Desie” na stole i regałach, co wisí na ścianie, to wszystko import.

To głównie import z Wilna, zza Bugi, znad Odry.

Jakże? Mało to było w Łodzi fabrykanców, pałaców nabywców od góry do dołu złotych, dywanami, obrazami? Mił, proszę państwa. Pałace były, prawda, ale sztuki w nich nie było. Za to była szmira. Rozmawiałem z ożoakiem komisji rzeczoznawców, która badała nazajutrz po wojnie „kolekcje” fabrykanckich rodzin. Historyk sztuki opowiadał, że do dziś nie może pozbýt się zaskoczenia. Zamiast dzieł sztuki ujrzał w pałacach łódzkich milionów przerażająca, niemal jarmarczna tandeta. Okazało to być, niektóre dywany monstrualnej wielkości, ale tak lichego gatunku, że trudno było uwierzyć, że są własnością ludzi, którzy obracali milionami. Jeden Gever był konserwem. Stanowił wyjątek. Ostatni z Geverów i dziś wpała do łódzkiej „Desy”, chodzi, ogląda, dumna nad niejednym eksponatem.

Począwszy od linca, „Desa” przeżywa niespotykany dotychczas nałazd obokrajowców.

Do niepozornego sklepu przy Piotrkowskiej zaglądają turyści z Francji, Anglii, Szwecji, niemal ze wszystkich krajów Europy zachodniej. Dużo jest Niemców. Wykupa na nniu wszystko co jest niemieckiego pochodzenia — co im przypomina dawne

czasy, dawne włości, albo dawna „Heimat”. Tacy już są. A że na gotówce im nie zbywa, więc robią interesy, które z ich punktu widzenia są na pewno korzystne. Na co jest największa haussa? Na moździerze, lampy naftowe, na kielichy, dobre obrazy, samowary i na porcelanę. Rodzimi kolekcjonerzy przepadają przez tego za miliarami. Oni by koszulę oddali za staroświeckie pistolety i parę nabijanych szabli, które skrzyżowane, wieszają się nad ultranowoczesnym biurkiem. Doskonale idą też autentyczne polskie, przedwojenne helmy szturmowe. Wielkie gospodynie pod Kutnem karmili jeszcze niedawno drób z tych helmów. Dziś za sztukę biera 400 złotych.

Kolekcjonerzy to jedna grupa — druga są dorobkiewicz, budylniarsko-zalanteryjne brzozy.

Ci nigdy nie mieli zaufania do pieniędzy, nie mają go też dzisiaj.

Szukają dobrej lokaty. To musi być trwała i pewna lokata, panie dobrodzieju, aby kapitał od samego leżenia przybywał na wazę. Nabywają plótna, porcelanę, srebro, złoto, w ogóle biżuterię. Bo biżuteria jest zawsze lepsza od dolara. Sam dolar w każdej chwili może stracić na wartości. O tym ówierkają nawet wróble przed „grandowska kawiarnia”. A dzieło sztuki ma to do siebie, że wciąż zyskuje w cenie. Turyści szukają, rzecz prosta, także rzeczy wartościowych. Ale nie wszyscy.

Pewien Polak z Kanady wykupił w „Desie” dość kiczowate landszafty. Bo ujrzał na nich prawdziwą polską wieś. Słoma pokryte strzechy, z żurawiem, plachem przy drodze i kartoflami w polu. Potem ruszył na łódzkie bazyli i wykupił wszystkie jelenie na rykowiskach. Kanadyjczyk z Toronto szperał za wszystkim, co pachniało przyrodnią wierzba. A już zupełnie rozzerwiał się na widok landszaftu z bocianem na komlinie. Mój Boże, dopiero się żona ucieszy... Turyści i ekspedycje rozglądają się jednak za czymś zupełnie innym. Na bociana nikt ich nie weźmie. A z jeleni interesują ich tylko rogi.

Jeszcze niedawno obowiązywały pewne ograniczenia.

Turysta mógł wywieźć z kraju przedmioty, których wartość nie przekraczała 2 tysięcy złotych.

Barierę uchylono. Pogoń za twardą walutą dewizowa zwyciężyła też w dziedzinie sztuki. Inna sprawa, że prac o najwyższych wa-

lorach artystycznych nie wolno wywieźć również dzisiaj. Tym niemniej do Łodzi ciągną szturem antykwariusze z Wiednia, Hilversum, Monachium. Zamawiają od jednego ciecica po kilkadziesiąt przedmiotów. Lista wędruje do Biura Handlu Zagranicznego w Warszawie. Biuro daje placet. Można sprzedać, dewizy są wciąż pilnie poszukiwane... Tak więc wielkie, zagraniczne antykwariaty ogłaszają Łódź z dzieł sztuki może nie najwyższej rangi — ale zawsze. Nikt chyba przy zdrowych zmysłach nie sądzi, że eksperci z Wiednia to stado bałwanów. Oni już tam dobrze wiedzą, co ma iaka wartość.

Wylania się problem, czy w ten sposób z własnej woli nie zubożymy narodowej kultury.

Polska to przecież nie Francja i nie Anglia. Polskę rabowano od wieków ze wszystkiego co cenne. A najbardziej od czasów wojen szwedzkich. Każde nowe pokolenie rozpoczynało życiowy start niemal od zera. Od nowego łożka, szafy i stołu. Przeciwny dom Francuza to prawie muzeum sztuki. Przeciwny „country-house” angielskiego lorda, to niemal nasz Wawel. Mała tego na kony. W londyńskim mieszkaniu pełno umeblowania z elżbietańskiej epoki. Nie mówiąc już o wiktoriańskiej. Niektóre pokoje swym wnętrzem wrostł onieśmielają. Są nawiązaniem bogactwem wielu pokoleń. A ile złota, cennej biżuterii ma w swym domu mieszczanin francuski? Ma tego więcej niż Banque de France w swych owianych tajemnicą lochach. Tajemnicą zresztą prysła, kiedy w sierpniu podano do wiadomości, że zapasy złota francuskiego przekroczyły 4.585 ton. Ogłoszono nie bez triumfu, że po Stanach Zjednoczonych Francja rozporządza obecnie największą ilością złota na świecie. — Zapasy radzieckie są nieznane. A mieszczanin francuski ma jeszcze więcej złota u siebie w formie bransolet, pierścieni. Bóg wie czego. Ma też porcelanę, meble „ompiere”. Czego on nie ma. Francuz by się rozchorował ciężko, gdyby nie miał choć kilka złotych pierścieni.

U nas inaczej.

W Łodzi dzieło sztuki nawet pośledniego lotu jest rzadkością.

Najlepszym w tej sytuacji rozwiązaniem byłoby nakłonienie cudzoziemców do kupowania dzieł sztuki współczesnej. Tyle się przecież słyszy o randze naszej plastyki, rzeźby, grafiki. A może znowu mił? Jeden z wielu? Na to wygląda. Turyści z krajów Zachodu pytają tylko o jednego, współczesnego malarza Łódź. Otóż nie pisana konwencja każe im lokować gotówkę w plótnach twórcy o europejskiej randze. Sam Wiedeń sprowadził już 30 plócien Konstantego Mackiewicza. Sprowadził dlatego, że pan Mackiewicz uzyskał nagrodę księcia Monaco, Rainiera. Tym samym wplwał na europejskie wody. Na Zachodzie liczy się tylko twórca nagrodzony na ważnym jakimś konkursie o międzynarodowym charakterze. Pojedynczy sukces nie jest jeszcze sukcesem całego środowiska.

Jest wszakże dowodem, że sztuka współczesna też może wnieść dewizy do państwowej kasy.

Niestety, łódzka „Desa” jest mroczna, posępna, zagracona. Wygląda jak ubiegłowieczny bazar starzyzny w Istambule albo Samarkandzie. A gdyby lokum przebudować, gdyby wdrobnić salon sztuki nowożytnej, gdyby stworzyć coś w rodzaju galerii, salonu, gdyby zapewnić współczesnym zbiorom lepsze warunki prezentacji, ekspozycji, to kto wie czy turyści by się nie zecili. Na razie wpadają po przekroczeniu ulicznego progu zaraz na perskie dywany, groźne szabliska, na porcelanowe puchary, lichtarze i rzeźby w marmurze. Także na meble w stylu francuskich Ludwików.

Więc może ktoś szepnie wystannikom szałcha, że w mieście Łódź na chetnych czekała całe komplety tych mebli?

Może... A kukulka to bym sam chętnie kupił. Tylko, że dosyć droga. Pozytywki, stylowe meble, monety Dioklecia na to jednak jeszcze nie litewski trojak kwadratowy. Cóż to za cenna moneta. Jaka rzadka. Za jeden jedyny trojak płacono za rzadki 30 tysięcy złotych. Więć zapraszam do „Desy”. Ale z trojakiem w kieszeni.

JAN BABIŃSKI

CZY SIĘ STOI CZY SIĘ LEŻY?

Dalszy ciąg ze str. 1

chary, ciągnie wózek za dyszle. (Zachary jest dzisiaj „koniem”; w brygadzie zmienia się przy dyszlach solidarnie co dzień).

— Wiesz dlaczego dymimy takie ciężkie wory? — powiada Andrzej — bo nasza siła robocza jest cholernie tania. Wszyscy do tego przywykli.

Sam wózek waży 140 kg, jest metalowy, pomalowany na czerwono i tak bartacko wykonany, że przez długi czas ramiona kolejnych „konii” wylazły niemal ze stawów. Wreszcie Kazik się zbuntował, poszedł do warsztatu i przy pomocy palnika acetylenowego zagiał dyszle na gorąco, do środka. Nasza toporna landara podskakuje na kołach łbach fabrycznego podwórze, przekazuje, wstrząs wnętrzościom Zacharego. Boleśnie chyba, bo dzisiaj „koń” — chudy, młeczny facet w czerwonym berecie — jest już stary i schorowany.

— Zegnaj wory ukołchany — mówj Andrzej, gdy zrzućmy ładunek przy drzwiach szarpani. — Chodź, pódziemy posalić.

Z Andrzejem pracuje się dobrze. Ciekawy typ. W nieco ziej, charakterystycznej twarzy

zwracała uwagę wesołe, bystre oczy. Tego chłopaka nigdy nie opuszcza specyficzny humor — ni to knajacki, ni to inteligentki. „Słyszysz? Wilczury się pogryzły” — mówi Andrzej, gdy w pobliskiej hali wybucha wrzawa. On to właśnie nazwał wilczurami pracowników obsługujących wilki — urzędników szarpacie i mieszające różne rodzaje surowca w kolorowych obłokach dławiaczego kurzu.

Nas — robotników magazynowych — znała wszystkie działy produkcyjne. Posiadamy też własne przewzisko: Murzyni. W zakładzie modne są przydomki i docinki. Nawet w chwilach silnego zmęczenia stawała mnie na nogi żarty, mniej lub bardziej cenzuralne porzekadła, dobrodusze klipy, kawały — cały rubaszny optymizm silnych, żywiliwych kumpali.

Sa tylko dwie brygady „murzyńskie” w fabryce. Każdego dnia przygotowują i wożą kombinowane kolorystycznie partie surowca do wilkowni (średnia waga partii 3-5 ton), ładują podobne partie na samochody i wozy konne, dla innych rozrzuconych no mieście oddziałów przedsiębiorstwa. Do tego dochodzi przyjęcie świeżego surowca — nieustannie załadunki i wyładunki — transport wózków i beł z sortowni do farbarni, z farbarni do szarpani, porządkowanie magazynów.

Każde czynności patroluje ktoś inny: manipulanci domarzają się ludzi, bo wilki „bezrobotne” i trzeba wydawać partie; na podwórze stoja już dwa wozy z kombinatu „Ani lana”, czekając na rozładunek (tu rzadzi kierownik magazynu), a trzeci samochód zafechał po ślanki arsenowe. Podnosi się także krzyk z flanki: magazynierka od beczek z olaniem przyszła po czterech sliwach, bo nowe beczki nadeszły, samochód wypożyczony, każda minuta posłój płatna, olaboga. Tymczasem w sortowni czekają worki z dzianina (Kubus z kantorku wola: „chodźcie we trzech, z wózkami”), farbierze podobno nie mają co robić, obiecano im „za momentek” 8 beł stilonu... Wreszcie wszystko zostaje załadowane.

Murzyni pracują w godzinach biurowych — od 7.30 do 15.30. Ale im bliżej fajerantu, tym więcej gromadzi się beł i wórow przed magazynami. Surowce cenne, zagrożone przez deszcz — należą wciągnąć do środka. Waga wórow normalna, czyli różna: od 80 do 350 kilogramów. Usmarowani pylem i kurzem, z włosami pełnymi żwiru, idziemy wreszcie do umywalni, zawsze strątni o te 15-20 minut.

Z Murzynów nikt w fabryce nie jest zadowolony. „Załadujecie panowie ten wózek i skoczcie zapalić” — obiecuje manipulanci zwany „Kindziorkiem”. Wózek załadowany, obietnica spełniona, w palarni trzaskają zapaliki. W tym momencie pojawia się inny manipulanci, pan G.: „tylko by palił” — goni do wożenia partii. Cóż, brygada się stawia. Urzędnik jest wściekły, lecz przegrzywa: nec Hercules. Po chwili brygada wstaje samorzutnie, rozdeptuje niedonalki i idzie do roboty, której „przerobić się nie da”. Ale osad mikrokonfliktu zostaje.

W pomieszczeniach magazynu panuje stan godny terminologii Jarosława Hażka. Mówiacz grzecznie, cholerny bałagan. W efekcie, gdy do partii przewidziano np. niewielkie ilości „końców elanowych” w kolorze różowym, brygada wydobywa chudziutki woreczek spod sterty potężnych wórow.

Kierownik magazynu i jego zastępca, to nie żadne równe chłopy, czy fachowcy całego gęba. Raczej bezradni, często „stukani no preml” przez dyrektora — potrafia jednak dogadać się z Murzynami, pójdą na rękę, bo fajerancie wspólnie wpyła litra. Robotnicy mówią o nich półgłosem „nasze stare d...”, ale odzająta, zostana 20 minut dłużej, żeby wprowadzić chociaż pozory ładu w szponach.

Prawdziwy porządek mógłby zostać osiągnięty tylko kosztem godzin nadliczbowych. W ciągu czasu ustawowego bowiem obie brygady są stale w ruchu, przeganiane z jednej roboty do drugiej, egzekwując jedynie krótkie przerwy na papierosa i dłuższa — śniadaniowa.

Filozofia „murzyńska” jest logiczna: nakużuje pracować dość solidnie, nie za szybko, dostarczyć zaplanowany surowiec do oddziałów produkcyjnych, rozkładać równomiernie wysiłek na wszystkich członków brygady. Krótko mówiąc, działa w możliwie najcięższych granicach obowiązku i nie poza tym. Dniówka nie jest akordem, nadwyżki wysiłku nikt nie wynagrodzi, a stawki nie gwarantują obłacalności godzin nadliczbowych. „Nadgodziny” interesują wyłącznie Murzyna, który jednego dnia „zapil” lub chwycił dorazny zarobek i nie stawil się do pracy. Taki musi swoje odrobić, żeby z wypłaty nie potracono kary.

A więc sytuacja bez wyjścia? Wielka szansa dla transportu wewnętrznego i magazynów fabrycznych — „cudownym lekiem” na różne niedomagania — jest, jak wiadomo, mechanizacja.

MECHANIZACJA — PROBLEM PSYCHOLOGICZNY

Wykaz urządzeń transportowych, używanych przez robotników magazynu surowca: 1. wózek akumulatorowy (platforma), 1. wózek akumulatorowy z bodnośnikiem, 2. duże wózki ręczne na kołach gumowych, 1. mały wózek ręczny tzw. magazynowy. (Ponadto, rozlane na terenie, różne wózki na kołach metalowych i drewnianych — raczej wraki nieprzydatne do transportu dużych ciężarów).

Stan faktyczny w miesiącu sierpniu 1966 r.: wózek akumulatorowy (platforma) zdany do eksploatacji przez 15 dni, wózek z bodnośnikiem załadowy 5 czy 6 dni, 1. wózek ręczny przez jakiś czas unieruchomiony (niekniecie detki), mały wózek magazynowy „wysiadł” bezpowrotnie (złamał się pod ciężarem: nie ma kto narawić).

Przeważnie brygady eksploatują energię mięśni. Trzdnioowy „katakizm”, jakim było pokniecie detki, został zażegnany no interwencjach w dyrektora kombinatu. Zaden z robotników nie chciał ciągnąć wózka pełzającego, więc tempo pracy raptownie spadło.



WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Bój o Łęczycę

(FRAGMENT BITWY
NAD BZURĄ)

Świt, 9 września 1939 roku. Błękitnawa mgiełka zasnuwa rozległe pola i nieliczne zabudowania. Wokół cisza zupeł-

na, tylko gdzieś z dala głucho dudni artyleria; wysoko w górze jęczy niemiecki Heinckel.

Pluton rozpoznawczy II batalionu 69 gnieźnieńskiego pułku piechoty, pod dowództwem

młodzika pporucznika Nowickiego szybko zbliża się do mostu na Bzurze. Tuż za nim wyrastają już pierwsze zabudowania północnych peryferii Łęczycy. Tyraliera posuwa się po obu stronach szosy, raz po raz grzęznąc w błocie i mokradłach. Jeszcze kilkanaście minut spiesznego marszu i oto most, a za nim Niemcy... Padają ciche rozkazy: część plutonu zajmuje stano-

wiska ogniowe, z resztą ppor. Nowicki wkracza na most. Idzie na czele, z pistoletem w rękę. Nagle przystaje, odwraca głowę, unosi rękę, daje rozkaz: Stój! Ostatni rozkaz... Niemcy otwierają gwałtowny ogień z karabinów maszynowych. Pierwszy ginie ppor. Nowicki. Od pierwszej serii. Żył dwadzieścia lat. Dziesiątkowany oddział wycofuje się z miasta i po dołączeniu do reszty plutonu podejmuje walkę ogniową. Lecz siły są nierówne, straty ogromne. Wykrwawiony pluton odrywa się od mostu, wsiąka w mgłę...

Tak rozpoczął się nad Bzurą, krwawy, pięciodniowy bój z Niemcami. Trwał od 9 do 13 września 1939 roku. Dwadzieścia siedem lat temu.

W ślad za rozpoznaniem, szerszą operację w tym samym kierunku, przeprowadza II batalion 69 p.p. w sile 3 kompanii. Uderza szeroko, frontalnie, wprost na północny skraj Łęczycy. Teren do natarcia fatalny. Otwarte, płaskie, bagniste. Żołnierze grzęzną po kostki w podmokłej ziemi. Całe przedpole kryje intensywny ogień niemieckiej artylerii i ciężkich karabinów maszynowych. Z góry sieją samoloty. Batalion ponosi duże straty, lecz nieustannie przebiega do celu. Lewoskrzydłową kompanię atakuje Niemcy z rejonu Tumu więc robi szybki zwrot na Tum i zajmuje go po krótkiej, lecz gwałtownej walce. Umocnia się i odpiernika kilka niemieckich kontrataków. Pozostałe dwie kompanie ponoszą ciężkie straty na północnym przedpolu Łęczycy i, nie osiągnąwszy miasta, wycofują się do postawy wyjściowej w Topoli, około półtora kilometra od peryferii miasta.

Tum wciąż jest w polskich rękach. Łęczycę plonie, ciężki, czarny dym kładzie się na pola, bitewny zgiełk z wolna przychodzi. Jest gorąco, duszno, bezwietrznie, mdły zapach krwi unosi się w powietrzu. Wieczorem, między godz. 18-19, następuje drugie uderzenie na północne przedmieście Łęczycy. Do natarcia idą dwa bataliony 69

p.p. wspierane ogniem 17 pułku art. lekkiej. W kilku punktach miasta wybuchają nowe pożary, płoną okoliczne wsie, wybuchy artyleryjskich pocisków sieją śmierć i zniszczenie. Ogromne luny. Przed północą polskie oddziały łamią opór wroga, wdzierają się do północnych peryferii miasta i toczą ciężkie, uliczne walki. Trochę po północy wchodzi do boju 60 p.p. 25 dywizji i wspólnie z walczącymi oddziałami 69 p.p. wypiera Niemców do południowego rejonu miasta.

O świcie 10 września oddziały obu pułków wyrzucają Niemców z miasta i zmuszają do odwrotu w kierunku na Sierpów - Leśmierz.

Łęczycza jest wolna! Tego samego dnia, 10 września, również o świcie, 68 p.p. zdobywa Górę św. Małgorzaty, kilka kilometrów od miasta, skąd w popłochu ucieka sztab niemieckiej 30 dywizji piechoty. 25 dywizja piechoty, już od świtu, natychmiast po przegrupowaniu oddziałów, jest w pogoni za wrogiem, który uchodzi, ile sił w motorach i w nogach, w kierunku Leśmierza i Ozorkowa. Również 17 dywizja, z rejonu Góry św. Małgorzaty, rozwija działania bojowe na południowy-wschód, rozszerzając front natarcia. O godz. 11 przed południem dywizja zajmuje wieś Podgórze; podpaloną przez uciekających Niemców, a następnie wsie Ambrożew, Rogulice, Konstancin i Sługi. U schyłku dnia polskie pułki 25 i 17 dywizji zdobywają Karsznice, leżące ok. 15 km na południowy-wschód od Łęczycy, podczas gdy 14 dyw. wielkopolska zajmuje rejon m. Piątek.

W nocy z 10 na 11 września Polacy utrzymują w swym ręku zdobyty teren, mimo silnych kontrataków wojsk niemieckich. 11 września, od świtu aż do nocy, jednostki 25 i 17 dywizji kontynuują natarcie na całej szerokości frontu. Mimo poważnych strat zdobywają Czerchów, Skotniki, Malachowice i niedaleko Ozorkowa miejscowość Celestynów. Czoło polskich oddziałów znajduje się już ok. 18 km na południe od Bzury!

W nocy z 11 na 12 września ciężkie walki toczą się nadal, lecz tracą na impet. Brak amunicji, nie ma odwodów. Żołnierze są wykrwawieni, zmęczeni, przeczerni do granic ludzkiej

wytrzymałości, głodni. Aż przeciw co chwila dokonują cudów waleczności i niesłychanego męstwa.

Jakże wspaniały jest polski żołnierz! Niemcy wprowadzają do walki wciąż nowe, wypoczęte oddziały z odwodów 10, 17 i 24 dywizji piechoty i wojsk zmechanizowanych, wspomagane przez lotnictwo. Mimo to, o świcie 12 września, polskie pułki uderzają do nowego natarcia. I choć nie odnoszą znaczniejszych sukcesów, to przecież zajmują i folwark Sokolniki niedaleko Zierzca, i pobliską Modłę, i jeszcze nieco terenu, dalej na południe. Wychodzą na przedpole Łodzi! Na przedpolu Łodzi, od 3 września zajętej przez Niemców.

I jeszcze jeden bohaterski zryw, 12 września wieczorem, w toku nieustannych walk, Polacy rozbijają w puch dwa pułki 17 niemieckiej dywizji piechoty. Wróg ponosi ciężkie straty w ludziach i sprzęcie i rozpoczyna gwałtowny odwrot na całym froncie, w kierunku na Zgierz - Łódź - Stryków.

Późnym wieczorem 12 września, na rozkaz dowódcy armii „Poznań”, gen. Kutrzeby, polskie dywizje wycofują się pod osłoną nocy na linię Bzury. Oderwanie się od nieprzyjaciela odbywa się sprawnie i w całkowitym porządku. 13 września ok. godz. 2-3 rano, wykorzystując poranne mgły, przeprowadzają się polskie oddziały na lewy brzeg Bzury.

Dopiero rankiem 13 września, dostrzegają Niemcy manewr polskiego dowódcy i rozpoczynają pościg. Tegoż dnia wieczorem wojska hitlerowskie powtórnie zajmują Łęczycę, Tum, Górę św. Małgorzaty, wsie, osady.

Na ementarzu wojskowym w Łęczycy spoczywają prochy 606 polskich żołnierzy, którzy w pięciodniowej, krwawej i nierównej walce z wrogiem oddali życie za Polskę. Tysiące innych, nieznanymi utuliła na zawieszonych Łęczycy Ziemia. Gdzie są ich groby? Jak się nazywali? Próżno dociekać. Zachowajmy w pamięci ich męstwo, ofiarność, żołnierski trud, umiłowanie wolności, miłość ojczyzny.

Ileż mogił nieznanych żołnierzy-bohaterów kryje Tysiącletnia polska ziemia.

(Na podstawie wspomnień uczestnika bitwy nad Bzurą, majora WP w stanie spoczynku, Józefa Wilka).

Wyjatek: Pewnego dnia czterech ludzi przewiozło i spietrzyło w szopie pod samym dachem 30 bel szmat z importu (średnia waga bel 180 kg), potem ci sami robotnicy przekazali 30 podobnych „pakuneczów” do sortowni i udali się do innej pracy. W krótkim czasie cały transport uprzątnięto z podwórza — i nikt nie odezwał zmartwienia. Oczywiście, bohaterem epizodu był człowiek akumulacyjny z podnośnikiem. Ten człowiek, który przez większość dni sierpnia i września, nieczynny, albowiem: ładowano akumulatory, źle naładowano, olej tryskał, rozładowało się, operatora wzięto do innej roboty itp. Pikanteria zawarta jest w tym, że chociaż o wózek prawie nowy, obsługiwany przez specjalnie wyszkolonego pracownika.

Próbuje „końskiego losu”. „Trzy worki da do farby” — powiedział Kubaś. W porządku. Na platformie wózka akumulacyjnego zmieściłyby się wszystkie i nikt nie musiałby tego ciągnąć ani pchać. Tak sobie myślał, trzykrotnie jadąc tam i z powrotem, zwinąć pot drażniak oczy. (Człowiek wszedł zwinąć zwinąć: dzianina zaczyna farbować w wiele później. Człowiek nie maszyną, a jak diabeł, podobno 30 stopni).

— Nie martw się, Robert — powiada doświadczony Zachary — w zimie dopiero zaczyna się polka. Jak wory przymarzają, a każda noga idzie w inną stronę.

Gdzie tknąć, tam problem mechanizacji wiata z sobą misternie dwa wiatki: interes produkcji i dole człowieka. To temat do rozważań ekonomisty i działacza społecznego. Nadzie, że powinien przyłączyć się do nich i zwrócić spec: psycholog.

Wśród najistotniejszych sterów postępowania każdego człowieka znajdujemy dążenie do stałego redukowania własnego wysiłku. Probie Bambuccio z „Julia Jurenity” Erenburga doprowadził rzecz do absurdu i spędził po prostu czas w bezruchu, leżąc na bruku Via Pasquini. Zwalnianie tempa pracy, wszelkie objawianie się — to na pewno bardzo umiarkowane formy lojalności wobec psycho-fizjologicznych nakazów. Istnieją jednak formy idealne — łączące interes wia-

snym, z interesem społeczeństwa oczekującego od jednostki czynu.

Andrzej i Kazik — moi kumple z brygady — różnią się charakterami, drogą życiową, czort wie czym jeszcze. Łączy ich jedno: twórcze niezadowolenie. W dniu, kiedy wózek podnośnikowy był zdany do użytku, lecz dla odmiany zebrał kluczki od stacyjki — Andrzej wykorzystwał swoje wiadomości z zakresu elektromechaniki, rozmontował część obudowy, połączył druty i usiadł za kierownicą. Było to trochę nielegalne, odrobina ryzykowne, opłaciło się jednak: w krótkim czasie wszystkie bele arony zostały spietzone w trzech poziomach, a nie upadła przy tym ani jedna kropla potu.

Kazik jest częstym gościem fabrycznego warsztatu. Tam zlikwidował felery naszej dwukółowej landary i skonstruował kotwiczko do podciągania worów podawanych na platformie samochodu. Któregoś dnia porozumiał się z szoferami w sprawie rozładunku wozów pod dachem magazynu, co automatycznie skróciło drogę worów na własne miejsce w szopie. Ten ostatni „wynalazek” był dziecinnie prosty, więc wszystkim zrobiło się gnupio: że też weselej nikt nie pomysł.

Brygada, w której pracuję, złożona jest z ludzi nowych w przedsiębiorstwie, głównie z „ptaków przelotnych”. Wyjatek stanowi jedynie starszy pan Zachary. W drugiej grupie znajdują się wyłącznie robotnicy związani z naszą fabryką wieloma latami pracy. Dłuższy staż, większa sprawność, rutyna — to walory bezsporne. Dlatego opinie osób kierujących zakładem i produkcją wyraźnie różnicują wartość obu zespołów. Tylko jedna rzecz niepokoi: zubożenie starszej brygady.

To, co zmusza mnie do pisania, wścieka i rozgorycza Andrzeja, wzywała instynkty racjonalizatorskie w Kaziku, zaś drugiego Kazka i Janka pcha w kierunku prób „dekowania się” — a więc kocie lby, wybudowała waga niektórych towarów, diabelski ręczny wyciąg na piętze, gdzie składowane są bele wipolanu, galimatias w szopach-magazynu,

partacka konstrukcja wózków i tylko pozor-na obecność urządzeń mechanicznych — wszystko stało się chlebem powszednim dla drugiej brygady, rodzajem stanu naturalnego, oczywistością.

A przecież źródłem postępu technicznego jest konflikt pomiędzy człowiekiem i oporem materii. Trudno mówić o postępie — wobec obolności kierownictwa i rezygnacji szeregowych pracowników.

HAKI I „HAKI”

Spoleczne usytuowanie pracowników dniów kowych? Charakterystyczne różnice pomiędzy naszymi dwiema brygadami pozwalała na jakiegoś ogólniejsze refleksje w tej dziedzinie: Z jednej strony, ustaleni w przedsiębiorstwie robotnicy ze stażem, którzy nigdy nie zdobyli poważniejszych kwalifikacji zawodowych — z drugiej zaś ludzie przepływający przez zakład, konieczni, bo tych pierwszy jest zawsze zbyt mało.

Fluktuacja ruchomej części dniówkowej zalogi jest niejako zaplanowana z góry: Powiada Andrzej: „Zapaskudziłem sobie cholernie opinie w poprzednim miejscu, wywalił mnie, więc teraz nopracuję przy worach do zimy, opinia poprawi się — i jaja. Brat mi zalatwił jakiś robotę do rzeczy.” (Andrzej momentami imponuje: dość obszerne wiadomości z zakresu przemysłowej chemii farmaceutycznej, praktyka mechaniczna i elektromechaniczna, ogólne „otrząskanie” w problemach świata, polityki, kultury. Był już w życiu kierownikiem warsztatu, zaczął jednak „kombinować” i wpadł. Teraz przechodzi okres rehabilitacji, która sam sobie wybrał i określił jej granice).

O naszej brygadzie ktoś powiedział niegłupio: faceci z dwoma hakami. Istotnie, robotnik transportowy pracuje przy pomocy haka — grubego pręta metalowego, zakrzywionego „na ostro” i opatrzonego uchwytem. Drugi „hak” — symboliczny — przeważnie tkwi w życiu, chociaż nie każdy mówi o nim tak otwarcie, jak Andrzej.

Nie chce być źle zrozumiany: „hak” nie musi oznaczać konieczności kolizji z prawem, czy etyką. Wystarczy czasami nieporozumienie z przełożonym, utrata pracy w wyniku innych przyczyn, jakiegoś tragicznego przeżycia... Ze skanych wypowiedzi Kazika, który dawniej był m. in. funkcjonariuszem MO, a potem osiągnął w cywilu jakąś funkcję kierowniczą — można wywnioskować, że „hak” oznacza niekiedy brak cenzury wykształcenia, pokpienie spraw, nieuzupełnienie kwalifikacji w właściwym czasie. (Kazik też rozstaje się z worami, prawdopodobnie przed zimą. Wśród jego licznych, praktycznie opatrzonych umiejętności, fach kłacki zajmuje poczesne miejsce).

Stan przeczekiwania różnych złych koniunktur — potem odlot do „czegoś sensownego”, „czegoś konkretnego”... Zima w przedsiębiorstwie zastrzył się kryzys kadrowy, właśnie w tej „branży dniówkowej”, która branża nie jest — zbyt mało ma do ofiarowania, zbyt mało zawodowych atrakcji, ambicji, techniki, aby wykształcił się typ wykwalifikowanego robotnika transportowo-magazynowego, operującego różnym sprzętem mechanicznym, wiedzącego, „na czym stoi”.

Do tego kłedyś dojść musi, bez dwóch zdań. Transport wewnętrzny jest układem krwionośnym zakładu, a gdy występują niedomogi arterii, wtedy łatwo o chroniczne niedotlenienie organizmu (patrz: wyniki produkcyjne).

Tymczasem — póki ciepło — zwykły dzień jak co dzień: Murzyni targają wory, przekomarżają się mimo zmęczenia. W czasie przerwy śniadaniowej cała brygada czyta dwie gazety. (Kazik zawsze przynosi „Głos”, ja znowu „Dziennik”). Czasem, po falerancie kupuje się litra w spółdzielni i wywija na pobliskiej łące, pod głowizną i ogórka. (Do knajpy prawie nikt nie chodzi — zbyt droga, a tu niemal każdy ma i ojciec dzieciom).

Tylko Andrzej mnie niepokoi: nie często, na umór, do dna.

ROBERT GLUTH

WIECZORNA WŁÓCZĘGA EKSKARCE ROWICZÓW

Na zegarze ratuszowym i u Ksieży Bernardynów z Lysogórki wybiła siódma. Te sama godzina wygrało sto kurantów i wiele mechanicznych trybunów w przedniejszych spóród 485 domostw Trybunałskiego Grodu.

Opuścili karecer z tym uczuciem oczyszczenia od zmyz, z jakim nie wątpiący odchodzi od konfesjonatu.

W oknach kościoła Jezuitów tańczyły płomyki świece. Fasada, trzykondygnacyjna wieża z pełnymi gracił hełmami, smukły szczyt o subtelnych i powściągliwych liniach — zadają kłam stereotypowym sadom o krzykliwości baroku. Do pory zacerwieńnienia słońca było jeszcze ponad godzinę. Rzuciło ono teraz światło intensywnie blade, z niejakim trudem przeginalac promienie przez kandy dachów nad kamienicami Watsonów i Góreckiej w wadół Łaziennej Suchej. Toteż mury oświetlone były nierównomiernie i przedśrodek głównego wejścia, gdy spojrzeć w górę, zdawał się dźwięczać na sobie siedem odmiennych pieter szarości i bieli, niby bładzacy człowiek, co wedle nauk mistrza Towiańskiego uzna się pod ciężarem rozdwojonej kolumny lasnych i clemnych duchów. Z uchylonych drzwi dobiegł szmer litanii. Staneli niepewnie narażając się oczyma: wejść, nie wejść?

Nie weszli i zamiast pożegnać się i rozejść po stacjach, gdzie czekano na nich ze zrozumiętym niepokojem, rozpoczęli wspólna włóczę po mieście, na przekór psychologii, która twierdzi, że wspólne przeżycie upokorzenia studzi przywiąz i rozprasza najbardziej zbratane towarzystwa. Na ulicy Rwańskiej, zatłoczonej kramami i pełnej za dnia przekupniów tak hałaśliwych, że pamięć o tym przetrwała w rozpowszechnionym w Polsce, dziś nie pojętym powiedzonku „jak na Zarwańskiej ulicy!” — poczuli, że omdlewają z głodu. Stojalowski zafundował wszystkim po chałce z czosnkiem i różańcu serdelków.

Zydóweczka Chała Sprzedawała łaja! Zaśniewali kramarce na odchodnym. Osobliwy krakowiak nie miał intencji obrażających, stwierdzał fakt, a odpiewanie było nieodzownością uczyniowskiego protokołu.

Zydówka zareagowała uprzejmym obnażeniem dziaści i szybko wzięła się za opancerzanie „handlu” przysadzistymi antabami. Było już mocno po dozwolonym czasie. Zaspokoiłi głód i szli dalej, nucąc, a raczej kukając, nowa śpiewanka, której gimnazjaliści nauczyli się w niezbyt jasnych dla pań wychowawczyń okolicznościach od panien z wyższego zakładu madame Biskupskiej:

Gadał że mi — kuku!
Króciusińko — kuku!
Juz mam dosyć — kuku!
Kukuleńko — kuku!

Potem przysłała im ochota wypróbować, jak to wojewoda Sapieha pielgrzymował per nedes do Rzymu. Grzesznik ten gwoli umartwienia po każdych trzech krokach naprzód, dawał dwa do tyłu. Umartwienie okazało się srogie, toteż niemato upłynęło czasu, nim dotarli do celu; do głównych drzwi ratusza na rynku.

Starodawna budowała, w minionych sławnych czasach trybunał totiae Sarmatae, uzbrojona z boku okraszła wieża w kształcie jakby niewieściej igielnicy, nie cieszyła zbytnio oka pieknością i ochodostwem murów. Były obmyzione z tynku, tu i ówdzie zarzysowane, parszywe od zacieków, w dodatku jak gruba butel w tyku oplecione chruśnięciem obskurnych dobudówek, kramów, stajenek. Aż dziw, że mógł tu jeszcze mieć swoja siedzibę magistrat i sad.

— Oto macie, panowie, pouczał przykład — oznajmił niby to z powaga Filipek, wskazując patetycznym gestem na fronton — karygodnego nierzadu zwierzchnich władz naszych; zamiast żeby z trybunału trafić do więzienia, to my na opak — z więzienia trafiliśmy do trybunału.

— Prawdziwie że nierząd i prostactwo — skrzywił się Stojalowski, nie trafiając w ton Filipka — W cudzoziemskich krajach dawno by już owo cudo rozebrali. Zarówno jak te nikomu niepotrzebne mury i stare bramy, i prospekt byłby znośniejszy i nowożytność weszłaby do miasta. Tylko że magistrat we wszystkim się Moskali ślucha.

— Panowie, silentium! — wyskoczył na przód jak fryza Węgrzynok — Obławienie na mnie spadło. Poziwimy Cwieka przed Trybunał za nieczy wzzledem naszej skóry uczynki!

— Dawaj, brachu, atramentcie! — Węgrzynokowi iskryły się oczy; zazwyczaj poważny i cichy, za dobry figiel do niekła by poszedł — A ty, Adaszu, nadstaw na pulbit sembr... ach, nie, excusez mois, na śmierć zapomniałem! plecy! Przyszedliśmy do drzwi jako hereticus Luther, kiedy oica świętego pozwał!

— Zwariowałes?! — Oprzytomniał nagle Gaszyński — Cheesz, żeby bude zamkneli, a nas etapem w rudniki! Jutro by już od świtu polkieria po domach ekstrazjafety ślala, że matiež.

— Głupi! „Sakesonów” się boi!

— Nie udawaj, żeś taki krakus! Nie słyszałeś od starych o sprawie Rudzkiego? Młokowski figiel, a potem nieszcześcia spadły na wszystkich bez mała budyl!

— To było jeszcze za starożytnych czasów, przed taurydzka wojna. Dziś Moskali nazbyt czuje nasem, że Napoleon szuka tylko pretekstu do spuszczenia mu batów.

Zaperzeni, nie poczuli nawet, że ktoś prawie otarł się o nich i stanął obok Gniazdowskiego. Zerkneli na oficerskie pagony

I już brał nogi za pas, zapomniałszy o rygorze salutowania wojskowym.

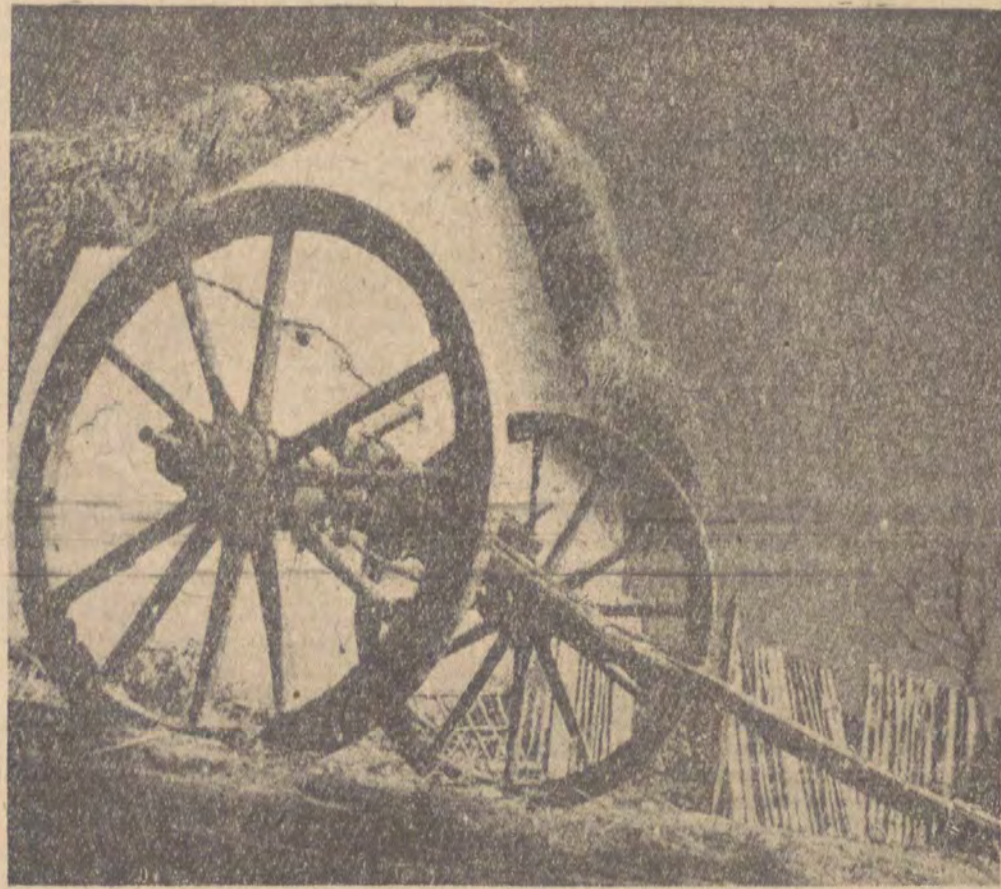
— Nie biezpakoities, gospoda, nie biezpakoities — uśmiechał się lejtant, przykładając pierwszy wyprostowana dłoń do daszka. — Ja nie chcę wam mieszać! Chatieł prosto pasmatric na zdanie i uże adstupału. Eta każetia sławny pamiatnik wazszel luboi uriazdianskoj proszłosi, da? — Miał nie więcej nad dwadzieścia kilka lat, szczupły, o niebieskich zamysłonych oczach, patrzył na gimnazjalistów z powaga.

— Da. Taki sobie, niemnożko stary — zapiniował budynek obiektywnie Stojalowski. — I z czasów Batorawo. — Bojarkiewicz. — Ja niesomniennie wierju — odezwał się znou officer jakoś dziwnie — czo wsio złoje prajdiot i swietloje buduszce zasijajet wsiem swabodulubiaszczim narodam!

— Dałby Bóg! — wyrwało się Filipkowi. Chłonców jakby wicher zmioł. Już byli na Sieradzkiej, biegiem mineli zafetozona brame. Oparli się aż daleko na Blichowej. — Ale mo palnałem, co? W piety poszło? — Jelop jeste! Turek przekięty! Smarkacz! Wiesz? — wyrzucił z siebie jednym tchem Psarski.

— Kto to mógł być? — Moskal. Mało ci! Pod włos brał, a po jutrze przwydrda do szkoły, ustawi w szereg i bedzie no faciatich inwiglował!

Niemniej na Blichowej poczuli się różnie. Tu, bliżej kolei mało była zamieszkała. Po jednej stronie toczyła swe ubogie wody Strawka i ciągnęły się aż do Rokszewskiego folwarku pokryte wieczorna niebieskością, niskie, rechoczące łaki, po drugiej biegi pochylły parkan. Za prostackiej sztachety przezielał zapuszczony ogród, może reszka lasu. W głębi sterczała szopa z jakimś butwiejącymi rupieciami, drewnianymi wannami i mieszałami — statki fabrykantów, którzy napierw iaśnili worki świecowy, później bieliłi płótna, wreszcie edzień się wnieśli, może do Rokicjan, a może i na przedpiekle, do Łodzi miasta.



Hyceneli przez wvrwe w płocie. Wybiegł ku nim milczący, kudłaty kundys. Potraktowany bulka, położył się najsposokniej na brzuchu i ilekroć zawadził o niego wzrok, trzepał wierzchnioodżażo ogonem. Poza psem ani żywego ducha.

Przestрах minął, ale powrót na stancje na amen wypadł im z głowy. Rozłożyli się na trawie.

— Bojarkiewicz, wyciągnij no, dobrodziej, zza pazuchy wirginke.

— A koci ogon cheesz, gotowasiez?... No, masz, znaj wielkoduszność mego serca.

Zsuneli złota przepaskę, trzaski płomyk. Smakowali po kole na indiański modle.

— Imperiale są bardziej wyborowe w smaku, ich liść popielatej jest barwy. — Stojalowski.

— Niby to trzymałes kiedy w gębie, zadrzyniosie zagraniczny!

— Jak macie kocham, że na imieninach fatka, w sekrecie. Nasz plenipotent dobr...

— Panowie, czas wielki zobaczyc, czy nas nie ma na stancjach?

— Tak ci teskno, Filipek, do tłumaczenia się, za co toż odebrałes?

— Paniczkiwoy jest do młchy z twarogiem teskno, ci co! — śmiech.

— Mój fatrowski — oznajmił Psarski zapalając zgasły koniuszek cygara — indycy się na sam widok kongreswskich zapalek. „Diabelski ponioł” — tupie. On chodzą zawsze z taką starożytna machina do krzesania. Gazopyrion zwie się.

— Tak by sobie człowiek leżał, tak leżał w darniach po słowe, po uszy, ach, choćby i przez wieczność! — Adas przewrócił się na wznak i zaczął sobie w zapamiętaniu przyszyć na czolo i oczy garście trawy; znad szopy wychynał był od jakiegoś czasu młody now i zdawał się przesuwać wśród chmur niby kosa ustawiona na sztoro — Już trzeci tydzień w tej stancynie duchocie, z dala od...

— Widzieliście, panowie, komediantki? — Karwacki zmienił nagle temat rozmowy. — Jedna urodziwa, szelma! Elwira. Leczko prosto poziomici że śmietana. A te jej jabłuszka-grechulki, powiadam wam!... Ewa z ogródka, powiadam wam!

— Skąd wiesz? Przecież ich nie ukazuje w śpiewogrze coram populo, bo by ja z miejsca na odwach zaoportował? No i na wieczorne spektakle nie puszczała takich asinuszów-studiodusów jak ty.

— Skąd wiem, to wiem — burknął obces, ale wnet puścił farbo. — W „Litewskim” stoi, z oknem od rynku. Szedłem jak raz wczoraj, a galganka jak raz w oknie stoi i nie... stanik, szelma, rozzuwa przy śwlecy.

Powiadam wam, dydki bogini Hebe przy tej ralskich jabłkach sa... sa... — rzucił okiem na trawę, jakby szukał natchnienia — sa niby niedzne psiny — zakończył.

— Tfu! Bezwstydnica! Kamień młwiski takiej uwlazać i z upustu na lebl... Ty, a w sobie ona też jest foremna?

— Chodźmy wszysze pod tej okno! Audaces fortuna iuvat.

— Stój zbroju. Wstydu nie macie za trzy grosze. Na cześ niewieścia skrycie okiem nastawać!

— Oj, Filip, Filip! Prawdziwie, żeś ty z konopi! Cześ i komediantka? Filipa poparłi jednak Adas, Gaszyński i Węgrzynok.

— Wiesz, co Chrystus powiedział o jednej takiej? Kto z was, lotrow, śmie w nią machnąć pierwszy kamieniem? — zapytał — I w jednej tam księżce „Dama kameliowa” nisze, choć nie czytałem, że...

— Niewiasta jest, która dzieła szacowne głosi ze sceny ku oświacie krajowej!

— Powiedz: szacownie stara panią merdą. — Panowie, nie mitrzyć. Raz dwa wstawajcie, owe dzieła ogladnąć, filozofom górne dylemata zostawiając.

— Gdzie wasz honor studencki? — Naprzód wiara, nie ma co się zadawać z dziećuchami!

— Ich by trzeba najsambierw na pensie opowatej Jadwisz oddać! — Gromki śmiech.

Tak się na skutek swaru gruba byłych karcerowiczów rozlamala. Obrony czel niewieściej bez względu „na profesie tudziej majestat”: sztuki ruszyły ze spuszczonej głowami na Krakowskie Przedmieście, kedy stali na stancjach. O tej norze było już z lekka niebezpiecznie maszerować otwarci przez miasto. Tylko patrzeć, jak zagrzmi trabka na gaszenie światel, a wtedy na uli-

ce wychodza posty i pedza do kozy trunkożłopow i włoczycielow.

Poszli na przelaj, łakami. Trudno jisz zbył dlugo w milczeniu ze srogim cizarem na duszy.

— Tee, Filipek, powiedz, tak, jak ojca i matke kochasz, czyś ty już miał z niewiastami do czynienia? — Adas.

— Ja? Nigdy!

— Ja też nigdy!

— I ja!

Podali sobie rece i znów szli wzdłuż rowu, baczac pod stony uważnie, by nie wpaść w któreś z niłanych „diablich ok”.

— Ja bym może i zaczął — spuścił po chwili z tonu naistarszy z czwórki, Filipek — alem ślubował w kościele, że moja pierwsza i ostatnia w życiu bedzie Helenę.

— A jak wam rodzice powiedza, że wasze niedorose „po słowie” to furda, to co wtedy? Przecież ona wobec tej tam waszej dzierżawy to paniu duża... No i panna w leciech, choć ci rówieśna. U bab inaczej się lata rachują.

— Jak zwróci „słowo”, to pójde do klasztoru.

— Hoop! Uważaj!

Przeskoczyli rów i czym przedzej wymi-neli czarnego kota, mlotając zamaszycie rekami, żeby przestraszył się i nie przebiegł w ostatniej chwili drogi.

— Mój stryj — pouczył kolegów Gaszyński — miał taka sama historię, niedorostkiem bedac, ale do klasztoru nie poszedł, jeno napisał o swej miłości smetne poema.

— Stryj? — zdziwili się. Dopiero na przypomnienie czy oznajmienie, że jest on wslawionym wieścizem, w Paryżu żyjącym, w którym to mieście klóci się z carem rymami o wolność krajowa, pochylili z szacunkiem głowy.

— To tak jak ten M... M... — meczył Adamek niesfora pamięć — No ten poeta, którego bukolika o tym, jak tato popadł między zbroje, w Lyszkowskiego wypisach pomieszczona. Dawniej o nim nie wspomni-

nano.

Na Krakowskim było cicho i ani śladu postów. W wielu starych dworkach, które w czasach Rzeczypospolitej nobudowała tu, poza miejska jurysdykcja procesualna się szlachta, trzymano na stancjach uczniow.

W tym oto zapadającym się, z ogromnym strzeszyskiem a lepouwantable mieszka właśnie Gaszyński. Pożegnałne uściski dion:

akcentacja przwiazni nie pozbawiona rós, niez charakteru próby sil.

Ida już tylko we trzech.

— Jeśli byś z miejsca po examen matieritatis — pociesza Filipka Adamek: widocznie cały czas rozważał jego duszny dramat — jakiegoś wiekopomnego dokonał dzieła, chyba by się zgodzili: Par exemple wyrucał za ocean na ból z „czerwonymi małami”.

— Czytales Jezdziec bez głowy? Ta księżka to dopiero księżka!... A jak kto chce boju, to mu daia ziem jak stad do horozontu. Przedzi... do Ksieżca byś doszedł, niż do swego kopca granicznego... Dziewczyna poczeła, ty wrócisz... Patrzcie, u Francuzi się świeci!

Zbliżali się pod dom, w którym na pieteku mieszkał profesor Wollgemuth z synem i córka. Była to stara kamieniczka, i chociaż na zewnątrz murów, stawiana na dachu na modle. Pokole miała tak samo wzniesioną i niskie jak przwyrwkoce staruchy.

— Zbliżali się pod dom, w którym na pieteku mieszkał profesor Wollgemuth z synem i córka. Była to stara kamieniczka, i chociaż na zewnątrz murów, stawiana na dachu na modle. Pokole miała tak samo wzniesioną i niskie jak przwyrwkoce staruchy.

Wskutek tej właśnie okoliczności oina twarz rzyły wnetk niemal na ból pokoiku, wnetki, jak i niskości parapetow, miały w sprzeczną z fortiecznym charakterem budowlności wli właściwość, iż dawały z ulicy krepujące wtret w to, co się dzieje na znacznej odległości pokoiku. Dlatego też w tamtych czasach, kiedy sprawy wsołbrzmiały z sobą sere zamkano skrzetnie w czterech ścianach i raczej nie wyprawdowało się ich w plener, unowszczełno się powiedzioko: „przeze sobą w oknie” w znaczeniu „chodźcie z sobą”.

— „Albo wiesz, jedź na Sardynie. — W dalszym ciągu rozważał Adamek poprzedni temat.

— I weź ze sobą Wollgemutha... O, Jezu, sie!!!

Cała trójka parsknęła i momentalnie usłuchała w cich.

— Widzisz ja. Nie trzeba i komediantki Bojarkiewicza.

Zestawienie nie było dokładne. Panna Luiza Wollgemuth stała w rozwartym oknie, właśnie od stóp do głów ubrana w bielekły chryba zagraniczny dezabil. Jego rozchylone nadzwyczaj skrupulatnie wypełniał stanek, co tam jeszcze i sute nogawice śmiesznych ubioru niewieściego zwanego le calec.

Stojac nieporuszenie wpatrywała się w testnym wyrazem lica w now, co zdawało się unaracie zmierzac do niej skroś nacierajace oblotki niby złoty kirasier maszerujacy w postawie na baczność. Tym wieceli roś śmieszalo owo weirzenie pelne serdecznej melancholii, że stojaca panna była osobą posunieta w leciech i nadzwyczaj miera.

Wystarczy powiedziec, że z kwadrantowej twarzy i przysadzistej figury podobna była jota w jote do monsieur le professeur.

— Nie ma obaw, że ta potwora — dyktkretny szepł Adamka — znajdzie swego amatora. Tym wiecel, że w posagu jest gramatyki i halsztuki de son pere.

— Chodźcie! — godna uwagi, zmiana w nastroju Filipka — Nastraszymy ja nastokantata po ichniemu. Wiesz: „que est est ce? Komar muhe ukase”!

— Nie! — zaprotestował nagle Węgrzynok i objął komende — Bedzie wieksza chęć, jak udamy zakoehanych: „Dobra noc”. Tylko zamiast „Jacenta”, Luizo, pamietajcie No, trzy, cztery!

Podieli afektowanym, wcale miłym tonem, jak pirenejsey sevilliczyzey swobodamom:

Dóbranoc, Luizo,
I wam usta czyste,
I słodkie oczeta,
I biersi parzyste...

Ledwie wstrzymali w sobie ogrom śmiechu.

Panna Luiza pierzchała w głąb pokoiku, leczym jednak przywarłszy do ściany przsunęła się nieznacznie z powrotem i inoglowała mrok uliczny zeszklonym oczyma.

— Qui est que-ce? Głupie Seducers. Dobra, juanisme! — z głębi nadzwyczajnie groźny do Dzisiejszym, głos profesora.

Dali drapak, nie oglądając się za siebie, — Honorowomysy się salsali, nie ma Co I sto kljów na nasza pustote nie pomoz. Co Wollgemuth od nas wycierpi! — rospaczali w niewczesnej skruszce przed stancja Adamka.

Z dala, z ratuszowej wieży dobiegł głos trabki oznajmiajacej — czas nocny — baczej uwagi na czerwony, zdradliwy światł. Od strony wschodniej, bodaj z ulicy Sulejowskiej, zawłórował mu z nagła, niesamowity, galopniacy coraz to szybszymi synkopami, piacki tenor:

Dajcie nożik, dajcie wilku,
Ja zarięzu moju miłku!
Dajcie nożik paastrieie!

A potem powoli, rozpaczliwie:

Wolga, Wolga, mat’ radnala!...

— Durny czubarzyku! Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie twoja Wolga a gdzie Strawka. Ani chybly rozpaczasz, że ci car kaze serychwo jezdzac do twojej ichtinnej maci — zawolał Adamek poroytowany swietlym odkryciem niedoskonalosci swei natury.

— Nie! Ja ani do Ameryki, ani na Sardynie nie pojade! — oświadczył nagle Filipek tonem głębokiego postanowienia — Będę tutaj czynny nad oświeceniem nieszczęśliwego ludu.

— Fafle jedne, Jazegi macedonskie! Cóż miasto przed wasnościami zszedłem, nów nie czuje! — Stary pan Górski, teść gospodara, wyrwał ostatnie dwóch maruderów z obłędu Adamka i powiódł na stancie, nadając chodowi należyta zwaowosć lekkiimi satraganiami kosturka. — Jesomosci inspektor wiadwał, że was dwie godziny temu napadli do domu eksnediowali. Napisze się rodzicom, jakim Górski, napisze!

Fragment powieści „Nad rowy” o życiu młodzieży piotrkwowskiej w latach 1859-1861. Pokazuje ona również, w innym miejscu, oświatleniu, i niektóre wydarzenia, związane z działalnością w powieści Wołodęgo Składowa „Nad polomym”. I tak akcja powyższego rozdziału toczy się bezpośrednio po dowcipnym ukaranu młodzieży przez „Cwieka” (prof. zwiśko uwielbianego przez młodzież inspektora Olszańskiego) za fatalne zachowanie się na lekcji prof. Lami (Wollgemutha). Dodajmy, że Lami-Wollgemuth stanął niebawem ofiara carskich represji po burzenkach w Piotrkowie w roku 1861.

ANDRZEJ GRUN

Protest Felixa Hatza

Normandia. Ziemia nastąpiła ludzkim potem i krwią. Ziemia, przez którą historia prze-walała się brutalnie, z losko-tem żelaza. Skalista ziemia, trudna do uprawy, surowa, dumna. Niszczona i budząca się do życia na przemian, z uporem. Normandia z czer-wca 1944 roku — zbroczona krwią, zmaltretowana, wręsz-cie zwycięska. Jedną ze scen gigantycznego teatru rozpaczli- wych zmagani, szaleńczej od-wagi, walki o ludzką godność i zwykły, ludzki spokój. W le-cie 1964 r. zielono-żółta, po swojemu nostalgicznie uśmiech- nięta, cicha.

W lecie 1964 roku Felix Hatz, szwedzki malarz i grafik unieruchomiony chorobą, ogląd- ał ją z okna swojego pokoju i z olną pedaczą samochod- u, którym wywożono go na spacer. W lecie 1964 roku, w mor- skie wybrzeże. Przemówiła do niego historia tej ziemi, ta sta- ra i ta najnowsza, tragicznie- mi rekwizytami przeszłości, przemówiła teraźniejszość twa-

rzami chłopów, stadami pasa- cych się spokojnie krów, swo- ją surową urodą. Nawiazła się owa tajemna więź mię- dzy artystą a ziemią, między człowiekiem ze Szwecji a ludź- mi Normandii. I tak powstał obszerny cykl grafik i obra- zów zatytułowany ogólnie „NORMANDIA — 6 czerwca 1944”.

Grafiki i barwne tempery z tego cyklu oglądając możemy na wystawie w salonie ZPAP, przy ul. Piórkowskiej.

Głęboko przeżył malarz szwedzki ten skrawek fran- cuskiej ziemi. Objawiła mu ona cały ogrom swojego dra- matu, tajemnicę swojej hi- storii. Fortyfikacje z ostatniej wojny, wraki czołgów i dział, kamienne zagrody chłopskie z obronnymi wieżami... Ale gra- fiki tymi rekwizytami lat ciemnych zainspirowane nie wyrażają dramatu i okrucień- stwa wojny bezpośrednio, cho- ś się gorącym przeciw niej pro- testem człowieka i artysty.

Mówią o tym, co z ostatniej wojny i ze wszystkich innych wojen na tej ziemi pozostało, co wżarło się w jej skały i stało się elementem surowego pejzażu, co otrzymała ziemia i ludzie dzięki zwycięstwu. Pokazują w swojej drugiej warstwie wywalczoną latami 1944 roku. To lato, które było słońcem i ciszą po burzy, uśmiechem, nieśmiałym jesz- cze i niepewnym po łzach i rozpaczy. Po wojnie przycho- dzi pokój. Zmienność, która

rządzi całą historią ludzkości, jest jednym z kluczy do zro- zumienia jej dziejów. I to jest koncepcja, na której buduje gmach swojego optymizmu Fel- ix Hatz. Lato 1944 roku jest latem Stalingradu, Warszawy, Monte Cassino... Każdego miej- sca, które przeżyło czas śmier- ci, przez które przeszedł bar- barzyński, zwierzęcy katak- lizm nie mający nic wspólnego z tym co ludzkie, normal- ne.

Ale lato jest pełne śladów, koszmarnych „pamiętek” — wraki stalowych potworów za- ryte w piasku plaży, fortyfi- kacje wynurzające się z mor- za jak zęby apokaliptycznego potwora cmentarza — Hatz kreuje te pamiętki na pomni- ki i wypisuje na nich owe straszliwe memento. Nie moż- na i nie wolno zapomnieć! Dzięki polskiemu cmentarzo- wi, dzięki innym cmentarzom — chłopci normandzcy chodzą wolni!

Hatz nie jest wcale senty- mentalny. Ani w płaszczyź- nie treściowej ani tym bar- dziej w swoich środkach wy- razowych. Jego sposób pla- styczny skłania się w kierun- ku opanowanej, ujętej w ści- śle rygoru ekspresyjności. Sta- ra się usilnie o utrzymanie pewnego dystansu tak w sto- sunku do tematu jak i do od- biorcy. Nazwałbym jego gra- fiki „meskami” — są mocne surowe, syntetyczne, skonstru- owane solidnie i, ucieżwie.

Bez upiększeń, ozdóbek, este- tyzacji. Bez świecidełek za- serce łapiących, przygrywek mających wzruszać. Robią wrażenie reportażu, czasem na- wet nasuwa się myśl o inwen- taryzacji. W tej oschłej oszczęd- ności i obiektywizmie jest ich siła. Formy czyste, konkretne, czytelne bardziej przez swój ładunek dramatyczny niż przez podobieństwo do rzeczy realnie istniejących. Oto woj- na która ma wiele twarzy i jest równie groźna dziś jak wczoraj. I nie ma tu miejsca na poetyzowanie i pozowanie. Fakty są argumentami najmoc- niejszymi. To atuty nie do od- parcia.

Jeśli w grafice Hatz używa koloru — czerwieni, zieleni — to jest ten kolor manifestacją, krzykiem rozdzierającym, za- skoczeniem. Staje się w tym monologu o klęsce i zwycię- stwie argumentem najważniej- szym. A jeśli jest czerń — to czerń ta jest zupełna, jest nocą, powrotem do lat tamtych. Oskarża. Czasem tylko Felix Hatz pozwala sobie na ton nie- co cieplejszy — suchy obiek- tywizm wydaje się wtedy maską. Pojawia się lekka kres- ka, muśnięcie ryłca, promień słońca. Spod surowej powłó- ki pozornej obojętności wyzle- ra wrażliwość i autentyczne przeżycie. Nie litość i tanie współczucie, a gorący protest i miłość do ziemi i ludzi. Bunt artysty i człowieka przeciw- złu i okrucieństwu.



Akt. — Miloslav Stibor. (Czechosłowacja)

ZBIGNIEW ŁAPIŃSKI

Światowy Kongres Lekarzy-Pisarzy w Debreczynie

Godną i atrakcyjną oprawę miał dziewiąty z kolei Światowy Kongres Lekarzy — Pisarzy w Debreczynie, który odbył się w dniach 26-29 sierpnia i był poświęcony wspomnieniu o Albertie Schweitzerze.

Zabytkowe, znane z wielkich tradycji historycznych i trzecie, co do wiel- kości, miasto węgierskie gościło stu- kiludziestego uczestników zjazdu, wchodzących w skład delegacji szere- gu krajów europejskich oraz Amery- ki Płd. i Azji. W dniu rozpoczęcia tego światowego sejmiku powitał gości, w imieniu gospodarzy, rektor univer- sytetu w Debreczynie dr Juhász PAL, a obrady otworzył prezydent Francus- kiego Stowarzyszenia Lekarzy — Pi- sarzy dr P. Ganière. Katalizatorem

organizacyjnym i towarzyskim zjazdu był dr P. Noël — także Francuz; szpa- kowaty, starszy mężczyzna, poliglota i nieprzeciętny erudyta w dziedzinie poezji i literatury pięknej.

Miła atmosfera kongresu, mimo dość intensywnej pracy, nie powodo- wała zmęczenia; narady odbywały się w trzech językach: francuskim, angi- skim i niemieckim — dominował francuski.

W ciągu czterech dni wygłoszono w godzinach przedpołudniowych dwa- dziesiąt sześć referatów, z których wyoniosa się sylwetka Alberta Schweit- zera; lekarza-teoretyka medycyny i praktyka, humanisty, badacza, pisarza, pety, muzyka, filozofa, polityka, teolo- ga... „potencjała” na miarę trudną do określenia. Nie odważam się analiza- wać konkretnie osobowości A. Schweit- zera, aby nie wpaść w schemat.

Natomiast wnikliwa charakterysty- ka białego człowieka z afrykańskiego buszu — to kwestia odpowiedzialna z tą- mi magnetofonowej wygłoszonych re- feratów, z których każdy wnosił coś nowego.

Uczestnicy kongresu mieli możliwość obejrzenia filmów dokumentalnych z Lambarene, miejsca pracy A. Schweit- zera. Wielce interesujące było śledzić retrospektywnie jak powstawały począ- tki wielkiego dzieła A. Schweit- zera w

Afryce; kilka drewnianych szalaszów zbudowanych własnym wysiłkiem i o- toczonych tłumem schorowanych tu- bylców; w naszych warunkach prymy- tywne słumsy, lecz w ówczesnej rze- czywistości afrykańskiej — ogromne osiągnięcia, które następnie rozrosło się do poziomu dobrze zorganizowa- nej placówki służby zdrowia.

Dr Gaspar de Freitas z São Paulo ilustrował przezroczeniami dzieła A. Schweit- zera wybrane w Brazylii. Tu można było zorientować się jak szeroki wachlarz przedstawiało pi- sarstwo A. Schweit- zera: rozprawy o mu- zyce, kulturze, etyce, krytyczna oce- na twórczości Goethego, prace teolo- giczne, artykuły medyczne, poezja... Alberta Schweit- zera interpretacje fortepianowe utworów muzycznych Mozarta, Bacha i Heidna przedsta- wila zebrany paryżanka Mme Hel- ga Meinrad.

Organizatorzy kongresu nie zapomi- nieli o innych atrakcjach, do których należały dwa uroczyste bankiety: po- witalny u prezydenta Debreczyna i pogrzebny — w auli uniwersyteckiej, oraz interesujące wycieczki w strop węgierski do Hortobágy, piwnie i win- nie Tokaj, imponujących grot kaplicy skowych Miskolca — drugiego co do wielkości miasta Węgier — by wrócić zakończyć to madszarskie tournée pobyt w Budapeszcie.

Nie samymi, jednak, tego rodzaju lekkimi swawolami żyła delegacja pol- ska. Jej członkowie udzielali się czyn- nie w trakcie trwania kongresu: A. Baron z Wrocławia przedstawił referat na temat twórczości literackiej le- karzy polskich w dobie powojennej. J. Miklaszewska z Krakowa, czytała swoje opowiadania w przekładzie fran- cuskim. T. Grochocki — młody lekarz z Warszawy — uczestniczył w dyskusji okrągłego stołu, poświęconej poezji. Z lekarzy prozaków brali udział ze strony polskiej: G. Fedorowski z War- szawy, mający w dorobku „Klika tu- tomów prozy, M. Łyskanowski, także warszawianin, twórca pięknie wyda- nych „Zapisków warszawskiego kon- syljarza”, oraz Z. Łapiński z Łowic- za, autor powieści „Flirt z medycy- ną”.

Powstały przed kilkunastoma laty, z Inicjatywy Francuzów, Międzynarodo- wy Związek Lekarzy — Pisarzy (FISEM) grupował początkowo kilka stowarzyszeń, obecnie rozrosł się do kilkudziesięciu. Dlatego okazał się słuszny i został przyjęty jednogłośnie stworzenie delegacji polskiej proponują- cej stworzenie Światowej Unii Lekarzy — Pisarzy. W wyniku tego w miejsce FISEM powstała oficjalnie UMEM (Union Mondiale des Ecrivains — Me- decins) z siedzibą w Paryżu. Tymcza- sowym prezydentem został dr Dia-

mont-Berger, sekretarzem generalnym organizacji — dr P. Noël, obaj Francu- zi. Następny kongres w Lugano (Szwajcaria) będzie miał duże zna- czenie organizacyjne dla UMEM.

Wyjazd delegacji polskiej do Debre- czyna był niewątpliwie pożyteczny, stał się bodźcem do stworzenia Stowarzy- szenia Polskich Lekarzy — Pisarzy, i włączenia go w międzynarodowy nurt. Kongres uporządkował i poszer-zył wiedzę o A. Schweitzerze. A naj- bardziej przejęła wszystkich relacja mówiąca, w jaki sposób Afryka przy-jęła wiadomość o śmierci swego do- broczyńcy.

W dniu zgonu A. Schweit- zera rozbrzmiewał w Lambarene murzyński tam-tam, który pociął za pośrednic- twem innych tam-tamów wstrząsają- cą wieść po Czarnym Łądzie: biały, dobry człowiek umarł!

Tysiące czołówek umarł! Tysiące bebów uczyły i przekazy- wały swym tajemniczym rytmem przez kilka dni głęboki ból i żal po Zmar-łym. Rozległa Afryka obchodziła za- łobę.

I, nie nagroda Nobla, ani oficjalne uznanie cywilizowanego świata, lecz właśnie ta muzyka tam-tamów docha- dająca z dzikiego buszu byłaby dla Alberta Schweit- zera najwyższym wy- różnieniem.

Leż on, niestety, już tego nie słyszal.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



„NIKT SIĘ ŚMIAĆ NIE BĘDZIE” to debiut reżyserski absolwenta praskiej szkoły filmowej Hynka Bocana stawiający go niewątpli- wie w rzędzie najbardziej ambic- ywnych i utalentowanych czeskich twórców filmowych. Dzieło Bocana zadziwia swą dojrzałością formalną i treściową. To piękna i prawdziwa sztuka. Reżyser potrafił nadać swoje- mu filmowi jednolity nastrój, który zharmonizował wszystko w sub- telną, wycieniowaną delikatnie ca- łość: tło, słowa, muzykę i człowieka z jego zachowaniem, problemami, przewyżczeniami. „Nikt się śmiać nie będzie” to studium psychologic- zne analizujące ludzka osobowość w oparciu zarówno o typowe czeskie, jak i ogólnoludzkie realia oby- czajowe. Zainteresowanie człowie-

kiem, jego psychiką znajduje wyraz w sposobie obrazowania: w upodo- baniu do planów bliskich, zwracają- cych uwagę na twarz, na uwidacznia- jące się w mimice młwli i reak- cje. Nie ma tu raptownych cięć, przeskoków tematycznych. Montaż dostosowany został do ogólnej atmo- sfery filmu. Wolno płyna dmi prak- tycznym bohaterem i tempo filmu tak- że jest powolne. Ta pokazana na ekranie Praga także bardzo jest w gruncie rzeczy małowartościowa! A przedstawieni ludzie — w większo- ci bezduszni i małostkowi.

„Chciałem pokazać — mówił Bo- can — jak można skrzywdzić czło- wieka, jak ciężko można go dotknąć przez nieprzemysłane i ordynarne podostki. (...) W jaki sposób cal-

kiem, jego psychiką znajduje wyraz w sposobie obrazowania: w upodo- baniu do planów bliskich, zwracają- cych uwagę na twarz, na uwidacznia- jące się w mimice młwli i reak- cje. Nie ma tu raptownych cięć, przeskoków tematycznych. Montaż dostosowany został do ogólnej atmo- sfery filmu. Wolno płyna dmi prak- tycznym bohaterem i tempo filmu tak- że jest powolne. Ta pokazana na ekranie Praga także bardzo jest w gruncie rzeczy małowartościowa! A przedstawieni ludzie — w większo- ci bezduszni i małostkowi.

„Chciałem pokazać — mówił Bo- can — jak można skrzywdzić czło- wieka, jak ciężko można go dotknąć przez nieprzemysłane i ordynarne podostki. (...) W jaki sposób cal-

pacjent. Oświadczenie: „Jestem Za- jiac” bierze za obław choroby. I tak się wszystko zaczyna. Jest jeszcze opowieść o autentycznym zaja- cu, która przez nieporozumienie boha- tera odnosi do siebie... I jak tu wy- tłumaczyć dziełeczkom, że z na- zwisk natrzasać się nie wolno? Nam już wytłumaczono, zostawmy więc reżysera i zarazem odtwórcę tytu- łowej roli — Leonida Bykova w spokoju. Tym łatwiej nam to przyjdzie, że „Nieśmiały w akcji” jest istną kopalnią dowcip- ów także innego rodzaju. Ot, na przykład coś dla filozofów: „Jdy człowiek rozbił się ma, to dla- 2 go przyszedł na świat?” (w rytmie lirycznej piosenki, na tle niesłycha- nie kiczowatego, klującego oczw bar- wami niebia i nie mniej kiczowatej

problem wybiłajacy się na czoło przedstawionych zagadnień: film ukazuje niemożność prawdziwej mi- łości, plynący stąd smutek, bezna- dziejność.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

problem wybiłajacy się na czoło przedstawionych zagadnień: film ukazuje niemożność prawdziwej mi- łości, plynący stąd smutek, bezna- dziejność.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

Jeśli się pokusić o wskazanie pewnych powinowactw, to nasuwa- łyby się przede wszystkim dwa naz- wiska: z filmu — Antonioniego (problem miłości), z literatury — Kafki (problem: jednostka a społe- czeństwo). I to również jest miara ambicji dzieła Bocana — filmu pełnego swoistego liryzmu, filmu ści- szonego jakby chwilami i zwolnio- nego w swej kameralności, okrasz- nego subtelnym humorem, a jedno- cześnie tak drapieżnego, mocnego poprzez swą problematykę.

MARIAREL

Trzysta dla Łazuki

„Trzy tysiące sekund z Bogdanem Łazuka” — to tytuł audycji telewizyjnej, którą nada łódzkie studio w czasie przyszłym (sobota, 24 września, godzina 20.00).

W czasie przeszłym, niemal każdego dnia ubiegłego tygodnia, Telewizja Łódzka nadawała krótkie komunikaty pod hasłem: Bogdan poszukuje partnerkę do audycji Łazuka — show. Na tle śpiewającego, albo tańczącego gwiazdora wy pisano dokładną datę: dzień, godzinę, miejsce...



1.

Dzień — sobota, 17 września 1966 roku. Godzina: piętnasta. Miejsce: Łódź, ulica Piotrkowska 262, kawiarnia „Pałacik”.

Tu odbył się spód, ta weryfikacja czy jak kto woli — rekrutacja dziewcząt dla pana Łazuki.

2.

Trafiłem tam nieco wcześniej. Kilkanaście minut przed piętnastą.

Były już. Oczywiście, że były. Najczęściej bardzo młode. Z tarczami. Więcej tarcz niebieskich niż czerwonych. Dobry znak.

U progu kawiarni stał młody gość i robił spis kandydatek. Pytał: taniec czy śpiew? Odpowiadały: Śpiew, albo: taniec. Tłoczyły się do tego faceta, przepychały. Okazało się potem, że to zwykły hochsztapler: nikt go o ten spis nie prosił.

3.

Telewizja przyjechała punktualnie. Wraz z nią trochę dziennikarzy, fotoreporterów i gawiedzi.

W kawiarni był już potężny tłok — dym, podniecenie. Sprane, skromniutki sukieneczki szkolne mieszały się z pstrokacizną. Pstrokacizna ma rutynę. Pstrokaciznie się nie spieszy — przybywa w ostatniej chwili, ale

za to licznie, z łupetem, w światłowej pozycji.
— Ja już idę — powiedziała sukienka szkolna — koleżance. — I tak nie mam szans.

— Trzeba się pchnąć do przodu — rzekła pstrokata do pstrykatej. — Trzeba, żeby wpaść mu w oko.

4.

Było ich wszystkich razem: pstrokatej i szkolnych — ze czterysta. Nie mieścili się w kawiarni.

— Trzeba je na taras — powiedział człowiek telewizyjny. — Tam się zmieszczą.

Zmieścili się jakoś. Z trudem. Tłum gapiów ślepił z boku i z balkonów. Komentował:

— Chyba ruda!
— Albo ta czarnecka!
— Albo, albo...

5.

Podszedłem do rudej kandydatki. Przepraszam.

— Ma pani sympatię? — zapytałem.

— Mam.

— Wie, że pani kandyduje?

— Nie wie.

— A gdyby tak panią zobaczył na ekranie... no, powiedzmy, w pocałunku z Łazuka?

— To by ze mną skończył. Nie skończy. Ruda odpadła w przedbiegach.

6.

Podszedłem do czarnej kandydatki.

— Ma pani chłopca?

Odwrociła się plecami.

Wówczas fotoreporter Kudaj, stary wyjadacz wskazał mnie tej czarnej:

— Ten pan jest z telewizji — powiedział, i pstryknął jej zdjęcie.

Wówczas ona:

— Mam męża, proszę pana.

— A mąż wie, że pani tutaj?

— Wie.

— A gdyby tak Łazuka panią wybrał? Co mąż na to?

— Ucieszyłby się.

No to się nie ucieszysz. Czar-na dostała kosza.

7.

Parę kandydatek przyszło z matkami: Matki bardziej podniecone niż córki.

— Podejdź tam trochę, offermo — instruuje stara młoda.

Młoda jest ładna, długonoga. Podchodzi i...

— Można panią osiągnąć

— rzuca swobodnie pan Bogus.

— Jezuu!!! — szepce wniebowzięta stara. Wybrał ją, wybrał! Jarecką trafi szlag!

8.

Eliminacje mamy niby z sobą. Dwadzieścia dziewcząt stanęło na stronie. Czekają. Po chwili jest ich trzydzieści: dziesięć doszło samowolnie.

Cała grupa z powrotem rusza do kawiarni „Pałacik”. Po drodze przybywa znowu kilka samowolnych wybranek. Wszystko się przetrabia, lasuje: nie wiadomo kto jest kto.

— Ale pan Janusz Rzeszewski (skądinąd znakomity reżyser) wymienił sobie z tym radzi:

— Która z pań umie prowadzić samochód?

Zgłaszają się dwie.

— Obie macie prawo jazdy?

Ma jedna. I przechodzi na stronie.

— Która z pań nie umie jeździć na rowerze.

Zgłaszają się cztery. Nigdyś wiadome podstępem.

— No to my już paniom dziękujemy.

— Która z pań mają białe komplectki: buty, pończoszki i sukienki.

Zgłasza się dziesięć.

— Reszta może iść do domu — powiada pan Rzeszewski (skądinąd znakomity reżyser).

Odziane kandydatki spoglądają na siebie z rozpaczą.

— Ja też — mówi jedna — mogłabym pożytyć białą spódnice, pończoszki i buty...

9.

Pan Łazuka podpisuje autografy. Robi to szybko, od niechęci, z zawodową nonszalancją.

Kordon dziewcząt wokół niego rośnie. Jedna wzmacnia głos:

— Mam wszystkie płyty pana. Tylko pana. Uwielbiam pana głos.

Łazuka uśmiecha się skromnie. Mówi:

— Słyszałem to dzisiaj parę razy.

Jeszcze jeden zamaszty podpis, składa ręce jakby nura dawał w wodę, i przedziera się przez tłum...

10.

Wygłąda przy tym uroczo. Ta gracia, ten krok, to bystre i sprytne spojrzenie...

Chociaż, jeśli o mnie chodzi, mam wrażenie, że patrzy na Sempolińskiego, że to tylko doskonała, wierna reprodukcja w miniaturze.

Ach, ten Paryż, ten akcent na pierwszej sylabie, ach, ten Tomasz... Oj, te gesty oszczędne i krótkie, to z posuwem, to z przytupem, lewa nóżka w prawo, prawa żwawo, byle do przodu. Pan w sztucznych spodniach,

z kresową wymową, wychował sobie następcę. Ale pan w sztucznych spodniach śpiewał, jak to się mówi, czysto: cis było cis, dis było dis...

* * *

Mnie się zdaje, że ktoś z tą imprezą przesadził. Owszem, zdarza się, że film czy telewizja ogłaszają pobór kandydatów do jakiegoś arcydzieła.

Nie zdarza się natomiast, aby tłumy szłyby jednostce, aby dla ekspozycji i reklamy jednego pana spędzać do zagród setki dzieci (albo prawie dzieci), i aby w tym wszystkim pośredniczyła tak poważna instytucja, jaką jest TV.

Zgoda, niech sobie Łazuka śpiewa i tańczy. Niech sobie zarabia w pokazach mody „Telimeny”, co niedawno miało miejsce w filmie, co ma miejsce i w TV, co będzie miało miejsce. Niech sobie będzie sławny, ubóstwiany.

— Ale pozwalać mu na buszowanie w mrowiu nastolatka? Stwarzać ku temu warunki? Wyposażać w sztab doradców, w kamery telewizyjne, flesze, mikrofony i Bóg wie jakie jeszcze urządzenia, które podzielał muszą jak narkoza?

Przyjrzałem się dobrze szczęściarom, co w najbliższą sobotę migną przez chwilę na ekranie. Tym dwóm do tzw. głównych epizodów, tej pulchnej, krepawej, która poprowadzi auto i tym kilkunastu, które w białych spódnicekach, pończoszkiach i buciakach przejadą kilka metrów na rowerze. Nie poddawano ich testom na inteligencję. Nie klasyfikowano pod względem wzrostu, maści i tuszy. Wyborom powodował przypadek. Przypadek jest ślepy: wskazał na przecietność. Takie partnerki Łazuka znalazłby, bez trudu, bez pomocy kamer, mikrofonów i doradców, na każdej łódzkiej ulicy, w każdej kawiarni i knajpie.

— Ale cóż z tego, że by znalazł. Nie dajmy się zwariować. Przecież tu chodzi o reklamę. Chodzi o pretekst do tych pięciominutowych wstawek w telewizji, które poprzedzily impreze, o pretekst do ukazania mistrza otoczonego przez tłum rozdającego autografy, uśmiechy, ironiczne spojrzenia i łaskawe zaproszenia do tańca: Ty pójdziesz, ty zostaniesz, ciebie ostatecznie mogę zabrać, a o twoim losie — zaczekaj trochę — zdecyduję mój doradca, Janusz Rzeszewski (skądinąd znakomity reżyser).

I dlatego właśnie odbył się ten spód. W glorii stał mistrz, a z boku dziewczynka zaplankana, której szczęście przeszło koło nosa. Blade to jakieś, kruchutki, dwa zeszyty w ręce, tarcza na rękawie, lalki pewnie jeszcze trzyma w łóżku...

KRONIKA



TYDZIEŃ TAKI SOBIE

Na początku sprawozdania należy umieścić „Amfitriona” Franciszka Zablockiego. Przypomnę sobie jednak szczerze, że nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego to właśnie sztukę wybrano na inaugurację poniedziałkowego teatru. A nie sa to pretensje pod adresem wielce sercu memu miłych pp. Ewy Bonackiej i Władysława Daszewskiego. Nie sa to też pretensje pod adresem aktorów.

To wybór sztuki budzi zastrzeżenia. Jest ona, co tu dużo mówić, nudnawa, zredukowana do jednej sytuacji. Tym bardziej, że letni festiwal teatralny przypominał nam bare zabytków scenicznych czyli za wiele grzybów w barszczu.

Bo jeśli chodzi o realizację „Amfitriona”, zastępuje ona z różnych względów na nieklamane uznanie. Powody chyba łatwo narzuciły się telewidzom. Należy podkreślić wykorzystanie możliwości technicznych. Może właśnie dlatego realizatorów skusiła ta sztuka. Obdarzono nas widowiskiem w pełni teatralno-telewizyjnym, wykonawców dobrano także szczęśliwie, jednak wyróżniał się wśród nich Mieczysław Czechowicz. Powitać należy Stefana Treuguta. Może tylko zwracał się do nas cokolwiek obcesowo, po-



mijając rzeczownik „państwo”, którego brak w stosunkach towarzyskich niedawno zgromił Jan Kamyczek w „Przekroju”.

Czekamy na sztukę — przez życie, angażująca nasze uczucia lub myśli.

Prześladuje mnie nieodparcie przekonanie, że piosenek powinno się słuchać przede wszystkim w brzmieniu oryginalnym. Nawet gdy się nie zna danego języka. (Ostatecznie p. Lucian Kydrviński umie je streszczać). Zważywszy w dodatku, że w świecie — piosenki podobnie jak monolog — pisze się dla konkretnych wykonawców. Zważywszy, że w

świecie często się zdarza. Iż pisza je dla siebie sami wykonawcy. Z tych powodów niezbyt wypadły minuty, poświęcone Charlesowi Trennertowi. Dodajmy, że i z jeszcze innego powodu: nie nadto szczęśliwie, ogólnie mówiąc, dobrano wykonawców. Ja to rozumiem: u nas od wielu lat plani się przekonanie, że niektórzy ludzie potrafią wszystko, stana na wysokości zadania w każdej powierzony im dziedzinie — ale to przekonanie także często miało i miewa fatalne konsekwencje.

Film odcinkowy o mecenasie Kowalskim cebuje szlachetna i słuszną tendencją, jednak zawartością nie wykracza on poza przeciętne, bardzo przeciętne felieton satyryczny. (To jeszcze jeden argument za tym, by sięgnąć do dorobku współczesnych satyryków, wiele mamy tomików z humoreskami i satyreskami zastępującymi na uwagę!)

Ostatnie „Przy sobocie” z Kalowie nasunęło jedynie me lancholijna refleksje. Jak trudno przegotować udany program okolicznościowy, bo właśnie ten był poświęcony związkowi Śląska z Warszawą i rozgrywał się przeważnie na tle makiety mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Zawiniłi wyko-

nawcy? Och, chyba nie. Spotkali się przecież z tuzami. Byli wśród nich: Maria Kotłowska, Andrzej Bogucki, Adolf Dymasz, Mieczysław Fogg, Szablonow, schematyczne teksty były więc przyczyną niepowodzenia. W wy-

nie wykorzystano okazji i nie nadano tej audycji — może uprzednio ja poszerzając — w programie ogólnopolskim.

Swoistym wdziękiem i kulturą odznaczał się recital Bolesława Mierzejewskiego. Dzieki pewnej książce może zachować się niedyskretnie: artysta urodził się w 1887 roku.

„Divertimento opus 2” zawierało te same sympatyczne elementy humoru, co i „Kabaletta”.

Jan Huszczyński

PS. Grzegorz Lasota robi się coraz bardziej tajemniczy. Przykład wielkich meżów stanu, w tym wypadku de Gaulle'a, bywa zaraźliwy. Po raz drugi red. Lasota gróził, że wypowie się o festiwalu sopockim i po raz drugi zastosował unik. Może zamiarza wypowiedzieć się nie w Warszawie i nie w „Pegazie”, ale podczas jakiejś podróży? Na przykład w Ziebrzu lub w Proboszczowicach Płockich? Nużel

Zastępuje za to na uwazę wystąpienie doc. Wl. Bortnowskiego w króciutkim programie, poświęconym bitwie nad Bzurą. Bortnowski jest autorem książki „Na tropach Łódzkiego września”. Szkoda, że



SIMENON I MAIGRET

Już za życia postawiono mu pomnik. Stał w Delfizji w północnej Holandii, gdzie 40 lat temu, George Simenon stworzył Maigret, najslawniejszego na świecie komisarza policji. I nie dziw nego, że na cokole pomnika nie Simenon, ale właśnie jego Maigret zajął miejsce. Pomnik Maigreta to hołd złożony wielkiemu pisarzowi.

Co czuje człowiek, który odsłania swój własny pomnik? Kim jest Simenon?... Kim jest Maigret?... George Simenon, genialny, niesłychanie płodny pisarz, którego porównać można z Lope de Vega, pierwszą swą powieść wydał mając 16 lat. Następnie drukuje kolejne 200 mniejszych pozycji, a potem setki książek, których ilości dziś już nawet zliczyć nie potrafi. Jego powieści zna świat cały, tłumaczone są na 30 różnych języków, także na język cejloński i maltański. Prywatna biblioteka pisarza to 70.000 własnych utworów w różnych językach. Każda z jego książek jest sprzedawana w tysiącach egzemplarzy, nie więc dziwnego, że zarobki pisarza idą w miliony. Każdego dnia w jakimś zakątku ziemi opuszcza drukarnię powieść Simenona. We Włoszech Mondadori, który od 1928 roku wydaje jego książki, przygotowuje własne dwudziestocarteromowe ich wydanie. Wpisane do literatury nazwisko Simenona znajduje się obok nazwisk tak sławnych jak Mauriac, Gide, Cocteau, Paul Morand czy Henri Miller.

Ala dlaczego pisze?

— „Piszę książki, bo czuję potrzebę pisania. Mój przyjaciel Chaplin powiedział pewnego razu: Ty piszesz, ja kręcę filmy — to lekarstwo na nasze nerwy!“
Będąc młodym, Simenon zamierzał zostać księdzem.
— „Z okien mego pokoju, w rodzinnym mieście Liege, patrzyłem na koszary wojskowe i na plebanie. Obserwowałem księdza, który przechadzając się odmawiał brewiarz. Widziałem również oficerów, którzy spacerowali po placu zajęci rozmową. Patrząc na nich postanowiłem zostać księdzem lub oficerem, aby mieć du-

żo czasu na pisanie. Niebawem przyszła miłość, przekreślając tamte zamiary. Ale nie będąc księdzem zna lażem czas na to, by móc pisać.“

Powiadają, że wydawcy zamknęli w klatce dwudziestoletniego Simenona, by udowodnić znajdującą się wokół klatki publiczności, że pisarz tworzy powieść w ciągu trzech dni.

— „Jeden z moich pierwszych wydawców utrzymuje, że zamknięty w klatce w ciągu trzech dni napisałem powieść kryminalną, do której charakterystykę postaci podali mi czytelnicy na wstępie eksperymentu. Wprawdzie przyjaciele przysięgają, że widzieli mnie w tej klatce, — ja jestem pewny, że nigdy w niej nie siedziałem.“

A Maigret? Jakże jest podobieństwo między nim i pisarzem?

— „Maigret łączy w sobie cechy pięciu komisarzy policji, których znałem, kiedy jako młody chłopak prowadziłem kronikę wypadków w gazecie w Liege.“

Dziś Simenon powrócił do Delfizji, gdzie w dniu 23 lutego 1929 roku stworzył postać Maigreta.

— „Kupiłem kuter Ostrogoth. Miał 10 m długości, 4 metry szerokości i moc 30 koni. Chciałem zwiedzić wszystkie porty Morza Północnego. Przybyłem i do Delfizji, krajiny wydętych na wietrze żagli, ziemi marynarzy, gdzie zapach ryby miesza się z wonią perfum. Zamierzałem pozostać tu trzy dni — zostałem trzy miesiące. Ludzie byli serdeczni, bliscy mi. Tu ujrzałem moją przyszłą żonę. Ubrana była w spodnie — pytałem czy to kobieta, czy chłopiec... Znudzony pisaniem romansów — postanowiłem napisać coś całkiem innego. I wtedy narodził się Maigret. Nie myślałem, że stanie się postacią wiecznie żywą, że będzie miał ciąg dalszy. Wydawca mój Fayard zawałał z przerażeniem: — „To katastrofa!“ I zaraz wyliczył wszystkie słabe, je go zdaniem, punkty: brak w powieści wątku miłosnego, bohaterowie są nijacy — ani krańcowo źli, ani krańcowo dobrzy, kończy się niepomysłnie. Byłem bardzo zgnębiony. Ale Maigret

narodził się i o dziwo! — w krótkim czasie stał się sławny.“

— „Szczęśliwy udało mi się w podróż po Morzu Śródziemnym, Francja, Włochy, Hiszpania — to kolejne etapy podróży. Napisałem wtedy na swej barce trzy powieści. Zawijając do portu zapraszałem na pokład miejscowych muzykantów, wytaçałem antałek wina, i śpiewaliśmy do białego rana.“

Taki był świat Georges Simenona — porty, mgliste zatoki — przedziwny koloryt Śródziemnego Morza.

— „Były sprawy, które mnie zadziwiały. Jak ta, że Maigret ma twarz osiemna stu aktorów. Słyszałem, że we Włoszech po Maigrecie Cerviego zabrakło w sklepach fajek.“

Dwudziestoletni Simenon czytał dziennie trzy powieści. Dziś nie czyta ani jednej — natomiast śledzi z zainteresowaniem kroniki kryminalne.

— „Nie znam współczesnych mi powieściopisarzy. Od 40 lat niczego nowego nie przeczytałem. Wracam zawsze do przeszłości do Balzaca, Stendhala, Gogola, Conrada, i do pamiętników Saint Simona, Tellejranda, Retza. Przecież listy Napoleona, to pasjonująca lektura, stokroć bardziej ciekawa niż każda inna powieść.“

Simenon nie napisał jeszcze — jak sam twierdzi — swojej najlepszej powieści.

— „Jestem zabobonny. Wydaje mi się, że jeśli człowiek uczynił już wszystko, co może uczynić, wówczas tak jak kwiat — wędnie i umiera. Pisarz najlepszą powieść może napisać wówczas, kiedy potrafi widzieć człowieka w każdej epoce. A zresztą to odnosi się i do innych dziedzin twórczości — mam na myśli np. Rembrandta. Zna się człowieka wtedy, gdy zna się życie. Mojemu Maigretowi nie dałem syna — bardzo nad tym cierpiał. Ale kiedy tworzyłem jego postać sam byłem bezdzietny. Czyżbym potrafił opisać synów Maigreta, nie mając własnych? Kiedy urodził mi się syn, Maigret miał już 45 lat — nie mogłem mu już dać synów, chociaż sam miałem czterech.“

Maigretowi i innym bohaterom swoich powieści poświęcił Simenon całe życie. Piszę rocznie około sześciu powieści. Jest ostatnim wielkim powieściopisarzem, niepoprawnym romantykiem.

Kiedy przystępuje do pisania — mówi jego najbliżsi — Simenon jest zły

jak kot, który weszły niebezpieczeństwo. Wówczas atmosfera domu w Epalinges w Szwajcarii, staje się napięta.

— „Zrywa wszelki kontakt ze światem.“

Nie przyjmuje nikogo, ani listów, ani telegramów. Wychodzi z domu o zmroku lub o świcie, by zacerpnąć powietrza. Zanim przystąpi do pisania całą rodzinę — żonę, dzieci i 12 osób „świty“ wysyła do lekarza, profilaktycznie. Obawia się, że choroba kogoś z najbliższych może przerwać pisanie powieści, której kontynuowanie byłoby potem bardzo dla niego trudne. Kiedyś mając 89 st. gorączki nie przerwał pracy.

A kiedy pisze, 40-pokoju, zagubiony w zieleni, dom porażony jest w milczeniu. Do pracowni nikt nie wejdzie. Gabinet pisarza tonie w ciszy — nie dochodzi tu żaden dźwięk. Na biurku przybory do pracy — dziesiątki doskonałe zastrzonych ołówków, 25 fajek, butelka wina, koszula do zmiany, piżama. Obok 108 książek telefonicznych z całego świata, z których wybiera nazwiska dla swych bohaterów. Telefon domowy milczy. Domownicy nad słuchują. Zza drzwi dochodzą dziwne dźwięki — lament... rozmowa. To Simenon dyskutuje ze swymi bohaterami, gani ich, przeklina, wita, raduje się ze spotkania. Czasem wychodzi na chwilę, by napić się „framboise“ — napoju, który tak lubi Maigret, lub by skosztować potraw auverniańskiej kuchni, którą uznaje inny bohater. I tak dzień za dniem w ciągu tygodnia rodzi się kolejna powieść.

W czasie całego życia Simenon szukał przygód, którymi karmił postacie swych powieści. Podróżował, kochał, uczył się. Z Elby przenoślił się do Tucson w Arizonie, z Cannes na Tahiti, z Odessy do Tumacacori na granicy — meksykańskiej. Uczył się życia i śmierci. Kiedyś w 1940 roku powien lekarz stwierdził, że Simenon jest ciężko chory na serce, i że grozi mu zawał. Przez dwa lata pisarz notował szczegółowo uczucia, ja kich doznaje człowiek skaza ny wyrokiem śmierci. Toteż, jak powiedział pewien krytyk, Simenon w swych książkach zna lepiej śmierć niż życie.

— „Jaka szkoda, że powieść musi mieć wstęp i zakończenie, że nie może być wciąż otwarta, taka jaką pisze samo życie.“

Oprac. M. TYMOWSKA

Z cyklu: PORTRETY



Rys. Wacław Kondek



Lewym okiem

PIĘĆ OSÓB W JEDNYM ŁÓŻKU

Wiemy wszyscy doskonale z własnej obserwacji, a czasem nawet z własnego doświadczenia, że utrafić, kłopotów, tragedii wynika z tak zwanych trudności mieszkaniowych. — O jednej desce, ale własnej! — mawiają stare i młode łodzianki, myśląc zresztą przy tym wcale nie o jednej desce, tylko o dwóch pokojach z wygodami.

Łódź była jednym z miast najmniej zniszczonych przez wojnę. Liczba ludności dynamicznie nie rosła w tempie huraganowym. Cóż się więc stało, że od dwudziestu lat słyszymy ze wszystkich stron o owych nieznanych „trudnościach mieszkaniowych“?

Prosta rzecz: wymagania wzrosły o trzy nieba wyżej. To bardzo dobrze, tak musi być i tak jest na całym świecie. A propos całego świata — jesteśmy przecież na jednym z naj — najpiękniejszych miejsc pod względem tempa przyrostu iź mieszkalnych. Z czego wynika, że pod względem wymagań wyskoczyliśmy w ogóle z tabeli daleko w przód. To też nie zarzut. Tylko ludzie bardzo czegoś pragnący i niecierpliw, ale aktywnie niecierpliw, zbliżają się do realizacji swych pragnień.

„W schronisku dla matek z dziećmi przy ul. Zeromskiego 44 są dwie sale o łącznej powierzchni 192 m². W schronisku tym znalazły przytułek 54 matki i 72 dzieci. Cała ta gromadka gnieździ się na 26 łóżkach, czyli że przeciętnie wypadła na jedno łóżko 5 osób. Wrażenia stąd wyniesione nie zatną się tak prędko. „Przywitwały nas postacie wyjątkie, chude, z podkrążonymi oczyma. W przyciętych żłobkach śną się niesamowite ognie. Wywołane gorączką ciała zbiedzonych i dusz, napojonych gorączką. W tych oczach czai się skarga i wyrzut i potępienie dla ustroju społecznego, który w XX stuleciu, w społeczeństwie kulturalnym, w mieście nieprzebranych bogactw, toleruje podobny stan rzeczy. W izbach zaduch, powietrze ciężkie od wyziewów przyprawia o zawrót głowy. Na jednym z łóżek — trumienka.“

To żony i dzieci eksmitowanych. Oni sami tułają się gdzie indziej.“

Tak pisał organ kapitalistów, tygodnik „Polski Przemysł Budowlany“, w numerze z 1928 r. poświęconym Łodzi. A może chcecie parę cyfr? 49 proc. ludności żyje w mieszkaniach, w których na jedną izbę przypada od czterech do piętnastu osób. W tym około 16 proc. — powyżej 6 osób. 57,6 proc. budynków to budynki drewniane. Ani jednego szpitala miejskiego — wszystko prywatne! Mieszkań jednoizbowych — 66,3 proc. (W tym samym czasie we Wrocławiu — 17 proc.). Więcej niż jedna izba na osobę przypada tylko dla dwóch procent ludności.

I tak dalej. To było dawno. Wszystko się przecięć rozwija, podnosi i poprawia. Samo? Chyba nie, skoro ten sam numer „Polskiego Przemysłu Budowlanego“ podaje dla porównania cyfry z roku 1918, z których wynika, że przez dziesięć lat sytuacja w Łodzi znacząco pogorszyła! Sam mieszkałem — zresztą w Warszawie, nie w Łodzi — w kamienicy, w której, do-

ślonące te pamiętam i mogę wyliczyć nazwiskami, ani jedno mieszkanie z czterdziestu nie było zajęte przez jedną rodzinę. Wszystkie były „koczochami“. I muszę powiedzieć — głównie zdarzały się dość rzadko, a tragedia tylko raz, gdy zalany dach po klótn z sublokatorom wyskoczył z trzeciego piętra i załamał dach na podwórzowej ubikacji.

Dziś powodem wystąpienia o zmianę mieszkania jest — powtarzam za „Polityką“ — twierdzenie, że po śmierci matki sąsiedzi straszają sieroty udając ducha nieboszczki, że gdzieś indziej sąsiedzi informują kandydatów na mężów, spieszących z oświadczeniowym bukietem, że ich wybrana leczy się w „takiej“ przychodni, że jeszcze gdzieś indziej sąsiedzi wmawiają dzieciom, że wcale nie są dziećmi swych rodziców.

We Wrocławiu ludziska nie godzą się na parę miesięcy niewygód, które by musieli ponieść, gdyby im nad głową nadbudowano dodatkowe piętro. Taka nadbudowa to często doskonale i tanie budownictwo mieszkaniowe.

Niewygody to jednak przykra rzecz, więc domów się nie nadbudowuje, chociaż można by ludzi jakoś przekonać, obiecać jakiś remont, jakieś dodatkowe korzyści późniejsze — obiecać i oczywiście dotrzymać. Też by się opłaciło.

Setki tysięcy — jak słyszę — obywateli nie płaci czynszów. Co im zrobisz? Schroniska przy ul. Zeromskiego 44 nie ma. Usunąć można, ale do innego mieszkania, które obywatelowi musi się podobać. Siedzą więc i wyrzekają głośno na ciekawcy kran w łazience. I nie czytają tygodników sprzed trzydziestu lat.

Ala stop. O mieszkaniach można nieskończenie, na tysiąc sposobów. Tak mi się tylko skojarzył widok radosnego Osiedla Młodych z tamtym potężnym sparganiem. Kran naprawięm. Żeby tylko nie psuł się co tydzień na nowo!

CWIEK.